ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO - KULTURALNY

Rok IV. Londyn, niedziela 22 stycznia 1950 Nr.4/135

EUGENIUSZ KARDYNAŁ TISSERANT

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY CYRYLA WODZINSKIEGO

JEDNOŚĆ W RÓŻNORODNOŚCI

Podajemy tu autoryzowany przekład referatu J. Em. X. Kardynała E. Tisserant na temat jedności Kościoła objawiającej się nie w koszarowym uniformiźmie, lecz, z woli samego Jezusa i z racji natury rzeczy, w różnorodności obrządków. Kościół bowiem jest jeden przez Osobę i naukę tego samego Chrystusa, przez jednego Ducha Ożywiciela i te same Sakramenta św. Tę jedność potwierdza różnorodność ogłoszenia tej samej Prawdy i różnorodność sprawowania tych samych Sakramentów (głównie Eucharystii). Kościół raduje się tą bogatą rozmaitością, dzięki której wszystkie jego dzieci, wyciągając ze Skarbca „rzeczy stare i nowe", czują się u siebie pod jego dachem. Niczego w tej dziedzinie nie narzuca. Oczywiście, nie narzuca także różnorodności. Istnieje ona w jego jedności podobnie jak istnieje jedność rodzaju ludzkiego w czasie i przestrzeni przy zróżnicowaniu jej przejawów czyli kultur, którego wyrazem jest także różnorodność języków.

Różnorodność w Kościele istnieje nie tylko w praktyce, ale w świadomości wewnętrznego prawa chrześcijaństwa. Przyjęcie do świadomości tego faktu i przejęcie się nim jest zasadą chrześcijańskiego humanizmu oraz odzwierciedleniem ukrytych praw dzieła stworzenia.

Dlatego ten właśnie odczyt zamieszczamy w oktawie modłów o jedność chrześcijańską całego świata, zarówno chrześcijan odłączonych jak Żydów, Mahometan i pogan, gdyż zrozumienie powyższych zasad jest wyrobieniem w sobie szerokiej miłości chrześcijańskiej, dzięki której niosąc Boga, nie narzucamy siebie i nie stawiamy przeszkód Prawdzie.

Kościół bowiem, jedyna Arka Zbawienia, chroni na swym nieogarnionym pokładzie wszystkie ludzkie odrębności; będąc według św. Augustyna, Jedyną Salą Uczty, żywi zaproszonych na Gody daniami z całego dzieła stworzenia

Poniższy odczyt był wygłoszony w czasie Tygodnia Misyjnego w Bolonii, który odbywał się przy udziale 5 kardynałów, 38 biskupów, setek kapłanów i tysięcy wiernych.

OD REDAKCJI

KOŚCIÓŁ Chrystusowy jest jeden. A jednak znajdujemy w Kościele katolickim wielką rozmaitość, która niejednemu może się wydawać szkodliwą dla tej jedności, pewnym zaś osobom staje się niejako powodem zgorszenia. Są naprzykład tacy katolicy, których dziwi rozliczna rozmaitość obrządków, szczególnie w sprawowaniu Eucharystii. Chcieliby oni, aby Stolica Apostolska narzuciła wszystkim język łaciński i obrządek rzymski. Innych znowu gorszą zbyt rozmaite habity Sióstr zakonnych. Pragnęliby sprowadzić ilość zakonów i zgromadzeń żeńskich do trzech: jeden kontemplatywny i dwa czynne — dla szkolnictwa jeden, dla szpitali drugi i temu ostatniemu chcieliby powierzyć wszystkie dzieła miłosierdzia. Jednakowoż jak dotąd, Namiestnik Chrystusowy pozostał głuchy na tak mądrości pełne sugestie. Albowiem Boski Założyciel Kościoła tak zarządził wszystko, że jedność i rozmaitość mogą w nim współżyć — i współżyły przez dziewiętnaście wieków — nie szkodząc jego żywotności. Zupełnie też nie widać przyczyny, aby nasze czasy wymagały jakiejś na tym polu zmiany. Psalmista proroczo opisał Kościół, oblubienicę Chrystusową, jako królowę „odzianą w rozmaitości" — lub, lepiej, „w szatach wyszytych rozmaitymi kolorami": „amictu variegato induta", jak się wyraża Psałterz Piusowy (Ps. 44. w. 15) i jedność Kościoła nic na tej różnolitości swoich szat nie cierpi, gdyż tę jedność tworzy w Kościele jedność Chrześcijan, którzy „stanowią jednego ducha i jedno, jedyne ciało".

To wyrażenie znajduje się w księdze napisanej w Rzymie w połowie drugiego wieku naszej ery, t.zw. „Pasterzu" Hermasa. Autor porównywuje Kościół do wieży, tworzącej całkowitą jedność masy z opoką, na której jest zbudowana, to jest z Chrystusem (por. „Pasterz"; Podobieństwo IX, 13,5; cfr. 12,1). To porównanie wyraźnie daje nam odczuć jedność Kościoła, lecz opis wieży i sposobu jej budowy, wykazują nam, że każdy w niej kamień pozostaje przy swej własnej indywidualności. Hermas stosując tę alegorię, czerpał natchnienie z pierwszego listu św. Piotra (I. Piotr, 2,4 n.), gdzie wiernych, nazwanych „żywymi kamieniami" wzywa Apostoł do jednoczenia się z Chrystusem, również nazwanym „żywym kamieniem", aby na Nim byli budowani w twór jeden.

Jedność całej społeczności i pełne uszanowanie osobowości jej członków — oto charakterystyczne cechy Kościoła rządzonego przez Tego, Który był nieustraszonym głosicielem absolutnej wartości każdej duszy ludzkiej. Wypada tutaj jak zawsze, wniknąć w cechy środowiska, w którym żył Jezus. — Żydzi palestyńscy za Jego czasów stali pod znakiem silnego wpływu faryzeuszy. Podnosząc swe prawo do najdrobiazgowszego określenia najmniejszych nawet szczegółów tego, co wypada czynić, faryzeusze stawali się walną przeszkodą normalnego rozwoju indywidualnego poszczególnych ludzi. Jezus nigdy nie przestawał uświadamiać Swych wiernych o niebezpieczeństwie takiego stanu umysłu i ducha — stanu, który zapanowawszy, po zburzeniu Jerozolimy, w judaiźmie całkowicie, zamykał go każdego dnia coraz szczelniej w sieć zakazów i nakazów talmudycznych. Pan nasz zupełnie czego innego żądał dla swego Kościoła. Oto wyraził On prawo jego rozwoju w podobieństwie rozkwitu rośliny, gdzie różne gałęzie i gałązki, czerpiąc siłę i soki ze wspólnej organicznej jedności z korzeniem, mogą się rozwijać z najbardziej różnorodną i bogatą rozmaitością, każda inna od drugiej. — Jedność i rozmaitość — oto, czego Boski Mistrz pragnie jednakowo.

Temu, ktoby o tym wątpił, zwrócimy uwagę, iż Chrystus nie powziął dla zabezpieczenia jedności Swego Kościoła środka zdawałoby się przecież najbardziej prostego i w takim wypadku najskuteczniejszego: — aby zredagować po prostu książkę, w której Jego przyszli wierni znaleźliby aż do skończenia wieków zupełnie jednoznaczne przepisy. Tak postąpił Mahomet. Dla muzułmanów Koran stanowi jedyne źródło prawdy. Wystarcza je czytać i objaśniać. Jezus zaś zastosował zupełnie inny sposób: miesiącami całymi nauczał Apostołów, wychowując ich w boskiej nauce i poprzez przykład własny urabiając ich nawet w najzwyklejszych okolicznościach codziennego i prostego życia. Apostołowie zaś czerpali z własnej pamięci wątek swego nauczania, wiara trafiła więc do chrześcijan drogą słuchania. „Fide ex auditu" (wiara ze słuchania), jak mówi św. Paweł (Rzym., 10,17). Jest zaś rzeczą zupełnie oczywistą i konieczną, że posłanie przekazywane w ten sposób, musi podlegać różnym odmianom. I to też widzimy. Naprzykład tak zasadnicza Modlitwa Pańska, której Jezus nauczył Swych uczniów — Ojcze Nasz — została nam przekazana przez dwu ewangelistów: jest krótsza u św. Łukasza (11,2 — 4), gdzie brak jej trzech członów, zanotowanych u św. Mateusza (6,9-13). Również i słowa ustanowienia Najśw. Sakramentu Eucharystii w czasie Ostatniej Wieczerzy doszły do nas w czterech różnych sformułowaniach pisemnych, a mianowicie w pierwszym liście św. Pawła do Koryntian i w trzech Ewangeliach według św. Mateusza, św. Marka i św. Łukasza.

Te dwa przykłady — podobnie jak i istnienie czterech Ewangelii, — gdy mogłoby się wydawać, że byłoby o wiele praktyczniej mieć tylko jeden opis ziemskiego życia wcielonego Syna Bożego i urzędowy spis Jego słów — wystarczają, aby nam unaocznić, iż apostołowie przed swym rozstaniem zupełnie nie zamierzali ułożyć tej księgi zasadniczej, której im Jezus sam nie dał. I właśnie tak, a nie inaczej, jest dobrze, bo opowiadania Ewangelistów dopełniają się wzajemnie i potwierdzają jedno drugie. Wykładacze Pisma, uczeni egzegeci mogą się nieraz znaleźć w trudnym położeniu, gdy próbują rozjaśniać takie lub inne poszczególne zdarzenia czy miejsca, lecz właśnie różnice jakie zachodzą w czterech Ewangeliach są nam gwarancją i zabezpieczeniem, że ich pisarze nie stali w zmowie wzajemnej. Albowiem świadectwa, które się zgadzają jedno z drugim w swej treści, nie zgadzając się w wyrazach, użytych do jej wypowiadania, bardziej właśnie zdaniem ekspertów zasługują na przyjęcie jako prawdziwe i szczere.

Nie możemy nawet przypuszczać, by Apostołowie byli obojętni na zagadnienie jak i czy utrzymać jedność wśród swych wyznawców. Oczywiście, że żywo zachowali w pamięci ostatnią prośbę, skierowaną przez Jezusa do Ojca niebieskiego, kiedy modlił się, by jego wierni, i to nawet w najdalszej przyszłości, „jedno byli". (Jan, 17,21 i nast.). Lecz wiedzieli oni równie dobrze, że jedność,



J.EM. X. KARDYNAŁ EUGENIUSZ TISSERANT

Biskup Porto i św. Rufiny, Sekretarz Św. Kongregacji do Spraw Kościoła Wschodniego, Przewodniczący Papieskiej Komisji Biblijnej itd., Protektor wielu dzieł i instytucyj kościelnych.

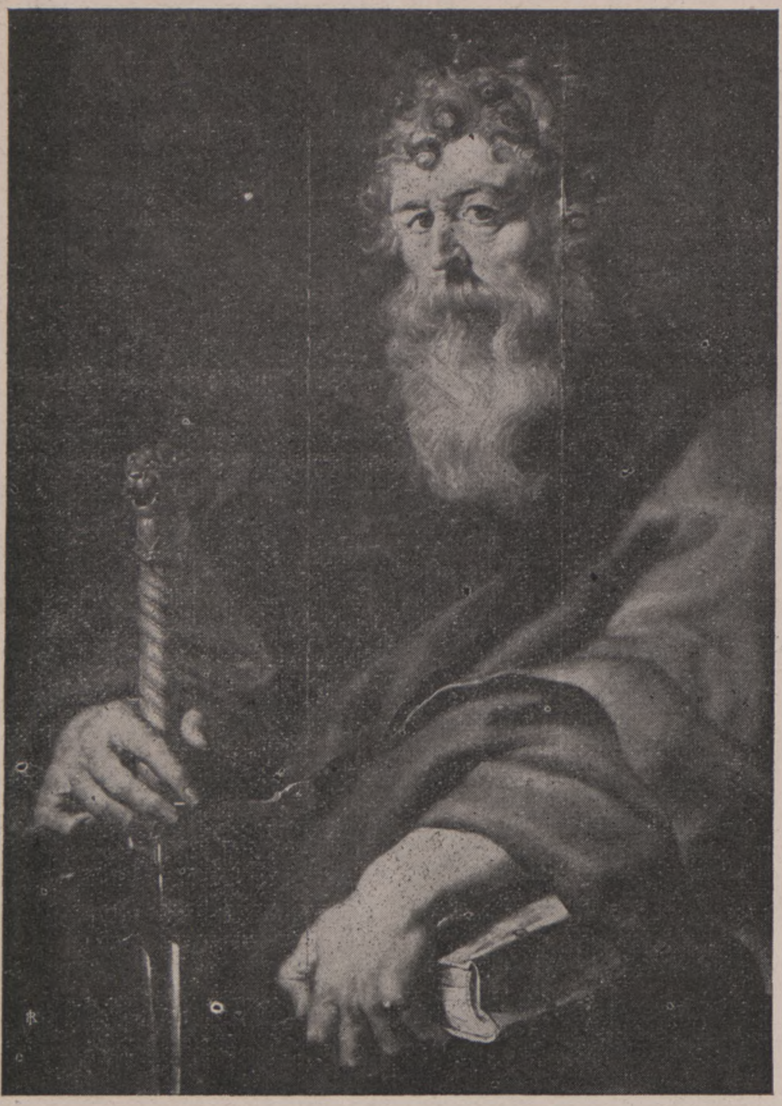
Ur. w r. 1884 w Nancy, Francuz z pochodzenia, Włoch przez biskupstwo, Słowianin przez sympatię i znajomość zagadnień naszej części Europy — jest Kard. Tisserant jakby wyrazem tej jedności Kościała w różnorodności, której służy na Swym wysokim stanowisku.

nawet ugruntowana na wyznawaniu jednej i tej samej wspólnej wiary, powinna się dopełniać i doskonalić we wzajemnej miłości (Jan, 13,35). Dla tego też wydaje się, że ich wspólnym zadaniem jeszcze w Jerozolimie było przede wszystkim wychować wiernych całkowicie nowego ducha. Było dziełem zasadniczym, aby doprowadzić wśród członków najpierwszych gmin chrześcijańskich do życiodajnego rozkwitu wzajemną miłość, ów znak Jezusa, po którym wszyscy mogliby poznać, że ktoś jest Jego uczniem. Pierwsze pisma po rozejściu się Apostołów, były listami do różnych poszczególnych ugrupowań wiernych, gdzie zachodziła potrzeba, aby wzmocnić i ożywić praktykę życia chrześcijańskiego.

Dlatego też w księdze „Dziejów Apostolskich" znajdujemy tylko jedno zarządzenie natury administracyjnej, przeznaczone dla zachowania jedności. Jest to ów dekret tak zwanego Soboru Jerozolimskiego. Miał on zapobiec, aby chrześcijanie nawracający się z pogaństwa nie ulegli pokusie odłączenia się od judeochrześcijan (t.j. chrześcijan pochodzenia żydowskiego), lub też nie byli przez tych ostatnich nagabywani i szykanowani. Jest to typowe zarządzenie dla tych wszystkich innych decyzji, które Kościół miał podejmować na tak licznych późniejszych synodach prowincjonalnych lub soborach powszechnych. Nigdy prawie nie proponował wtedy Kościół nowych formularzy, chyba tylko wtedy, gdy trzeba było się sprzeciwić „zejściu z drogi", wypaczeniom poszczególnych osób, które wprowadzać chciały nauki nie dające się pogodzić z depozytem Objawienia. 1).

Różnorodność i rozmaitość Kościoła nie jest prostą refrakcją, odzwierciadleniem lokalnym — w różnych środowiskach — jednej i tej samej jedności wypływającej i przesyłanej z centrum. Ma ona swoje źródło w swobodzie osób wolnych, którą wyrażają one indywidualne, osobiste zalety i właściwości. Nie znaczy to, żeby centrum miało nakazywać

1) Siła dowodowa tego ustępu na rzecz „rozmaitości w jedności" Kościoła katolickiego polega na tym, iż Autor zaznacza, że treścią życia Kościoła i troską jego władz jest: dać żyć, dać się życiu rozwijać, jak je Łaska Boża wiedzie; chyba, że zachodzi potrzeba bronienia tej Prawdy i tej Łaski przeciw fanatyzmowi. **(przyp. tłumacza).**



Rubens, Galeria Prado (Anderson — Roma)

ŚW. PAWEŁ APOSTOŁ

różnorodność, boć wypływa ona i rodzi się samoistnie, (tak jak różnorodność gałęzi), na peryferii działania (tego samego życia — **przyp. tłum.**). Oto w najbardziej zasadniczym, najdelikatniejszym objawie tego życia, to jest w przekazywaniu **wiary** katechumenom, nie znajdujemy w całej starożytności zastosowania jakiegoś jednobrzmiącego formularza. Każdy Biskup, każdy przełożony szkoły katechetycznej stosował się do tego, co sam przejął kiedyś od własnego nauczyciela [illegible] swym słuchaczom udzielał owoców własnych, osobistych na ten temat rozmyślań. Tak więc, naprzykład, rozwinęły się w trzecim i czwartym stuleciu w Aleksandrii i Antiochii dwie szkoły egzegetyczne wyjaśniania Ksiąg Świętych. Jedna stosowała tłumaczenie alegoryczne, podczas gdy druga trzymała się ściśle znaczenia dosłownego. Kościół pozostawił swobodę obu prądom. Wówczas tylko interweniował, gdy to tu, to tam pojawiały się wybryki.

Nie inaczej było z kultem, ze służbą Bożą. Jedyny opis sprawowania Eucharystii (Mszy św.) jaki mamy sprzed roku dwóchsetnego, znajdujący się w Apologii św. Justyna, — przyznaje kapłanowi, który nabożeństwu przewodniczy, bardzo wielką dozę inicjatywy osobistej (rozdz. 65-67). Pierwsi chrześcijanie znali porządek rzeczy zachowywany po synagogach żydowskich, do których ongiś uczęszczali, jak i Jezus często do nich zachodził ze swymi uczniami. Było więc rzeczą zupełnie zrozumiałą, że na zgromadzeniach — nabożeństwach chrześcijańskich rzeczy układały się w nieco podobny sposób jak w dawnych synagogach; śpiewano psalmy, czytano Pismo Święte. Jednakowoż szczegółowy rozbiór i bardzo dokładne studium modlitw, używanych przez Żydów dziewiętnaście wieków temu oraz tych szczątków, które można zebrać z modlitw chrześcijańskich w pismach pierwszych wieków, mówią nam jasno, że jednak chrześcijanie poszli i tu nowymi drogami.

Rysem charakterystycznym bowiem nowej wiary była Eucharystia, powtórzenie obrzędu, który celebrował Jezus ze swymi uczniami w Wieczerniku, zanim się udał do Ogrójca konania. A więc po skończonych czytaniach, przewodniczący składał dzięki Bogu przez Jezusa Jego Syna. Otóż, taką modlitwę dziękczynną przez długi czas po prostu improwizowano, podczas gdy jej zakończenie było wszędzie i zawsze to samo, a więc — powtórzenie opowieści o ustanowieniu Najśw. Sakramentu, poczem już konsekrowane chleby i wino udzielano obecnym i posyłano nieobecnym.

Choć Apostołowie używali jako swego języka rodzinnego jednego z dialektów aramejskich, zastosowali jednak grecki jako język nauczania i propagandy na obszarach Imperium rzymskiego. Prawdopodobnie, jako Galilejczycy nie byli pozbawieni pewnej znajomości tego języka, mimo, że byli tylko prostymi rybakami, był bowiem bardzo rozpowszechniony w tej części Palestyny; nazywano ją też dlatego Galileą pogan. Aczkolwiek poręczniejszy i bliższy był im język aramejski, jednak wybrali grekę, bo tego języka powszechnie wtedy używano w administracji państwowej i w handlu we wschodniej części Cesarstwa, a zarazem był on doskonale znany w samym Rzymie i rozumiany na szlakach azjatyckiego handlu — aż po granice, dokąd dotarli żołnierze Aleksandra Macedońskiego i dalej jeszcze. Lecz w Północnej Afryce nie udało się nigdy zapanować językowi greckiemu. Dlatego też łacina, która w tej części imperium walczyła o pierwszeństwo ze starym punickim i z mowami „barbarzyńskimi", stała się tam wkrótce językiem Kościoła. W Egipcie zaś, choć grecki w tym kraju był rozpowszechniony, żył jednak dalej stary język pomiędzy kapłanami kultów pogańskich, a i miejscowa ludność chętnie go używała w rozmaitych narzeczach, aby w ten sposób odróżnić się od Greków i nie poddać się zhelenizowaniu. Wydaje się, że Kościół zastosował się bardzo szybko do tego stanu rzeczy i wziął pod uwagę język, który miał aureolę starożytności i wpływ „mowy świętej". W Edessie znowu, gdzie tradycja głosiła, że król Abgar utrzymywał swego czasu korespondencję listowną z Boskim Mistrzem, prawdopodobne jest, że chrześcijanie używali od samego początku miejscowego dialektu aramejskiego. Dialekt ten stał się językiem propagandy chrześcijaństwa w imperium Persów i w Indiach, miał też w tym charakterze przeniknąć aż w głąb środkowej Azji i do Chin, a tymczasem stawał się częstokroć zwycięskim rywalem greczyzny aż popod samymi bramami wielkiej stolicy hellenistycznej Antiochii. W Armenii już w czwartym wieku język miejscowy stał się kościelnym; alfabet ormiański zaś został stworzony, by pomóc w rozwoju wiary, podobnie jak rzecz się miała z alfabetem gruzińskim. Nawet w Etiopii, od chwili nawrócenia się monarchów z Axum, wydaje się, iż nabożeństwa były odprawiane w miejscowym narzeczu semickim t.j. w języku geez.

Otóż używanie w jednym czasie tak wielkiej liczby języków z konieczności prawie prowadziło do stwarzania różnorodnych formuł i typów modlitwy. Charakter bowiem każdego języka zawiera w sobie inny sposób myślenia, tak jak wytwarza rozmaite sposoby śpiewania.

Jednakowoż teksty, którymi rozporządzamy dzisiaj oraz forma w jakiej nas doszły, nie pozwalają nam wyrobić sobie jasnego pojęcia o pierwotnej rozmaitości formuł liturgicznych na Wschodzie; w przekazanych nam dokumentach, które na to rzucają pełniejsze światło, spostrzegamy już owoc wielkiej pracy unifikacyjnej. Ta praca w wielkiej mierze jest znów wyrazem działania specjalnych stref lub zon i podziałów juryzdykcji kościelnej, które przyczyniły się do ustanowienia wielkich patriarchatów. Jerozolima, Aleksandria, Antiochia zaważyły znacznie jako centra liturgiczne, ich promieniowanie było znaczne, przynajmniej jeśli chodzi o dwa ostatnie miasta. Lecz i Konstantynopol, jako stolica Wschodniego Cesarstwa Rzymskiego wkrótce dał odczuć swój wpływ, skoro tylko mógł się już powołać również na godność patriarszą. Gdy zaś błędnowierstwo monofizyckie podzieliło patriarchaty aleksandryjski i antiocheński na wrogie obozy, które nigdy już nie miały się zespolić i które dotrwały aż do naszych czasów, chrześcijanie, wierni prawowierności siedmiu pierwszych soborów, a również wierze cesarzy, z czasem poczęli zarzucać obrządek swych ojców, by przyjmować liturgię konstantynopolitańską. Obecna rozmaitość obrządków wschodnich, która wydaje się tak bardzo skomplikowana dla katolików obrządku rzymskiego, jest więc rezultatem podwójnego rozwoju unifikacyjnego: wpierw na rzecz liturgii patriarchalnych Aleksandrii i Antiochii, a potem na rzecz Konstantynopola. Najbardziej starożytny ze wszystkich obrządków wschodnich, jerozolimski — całkowicie zaginął.

Wydawałoby się, że na Zachodzie taka różnorodność nie powinna była powstać. Brakło tu bowiem tych dwu właśnie okoliczności, które na Wschodzie najbardziej się przyczyniły do trwałego ustabilizowania rozmaitości obrządków, a mianowicie ilości rozmaitych języków i liczby wielkich patriarchatów. Na Zachodzie była w użyciu tylko jedna mowa liturgiczna i nie było patriarchatów. Prawda, był jeden wyjątek co do liturgicznego języka — język starosłowiański. Lecz używanie starosłowiańskiego języka na wschodnich wybrzeżach Adriatyku, w liturgii rzymskiej, od dziewiątego wieku począwszy, nie miało żadnego wpływu na rozwój obrządków zachodnich. Powtarzam: „**obrządków zachodnich**" — albowiem fałszywe było by sądzić, że na Zachodzie zapanował tylko jeden obrządek. Gdy na Wschodzie praca unifikacyjna w obrządkach bardzo już była zaawansowana, dopiero co zaczynała się ona dawać odczuwać na Zachodzie, tak, że naprzykład, aż do Karola Wielkiego, dwa ogólne schematy liturgicznego nabożeństwa dla sprawowania Eucharystii (Mszy) istniały obok siebie i to bardzo od siebie odmienne: schemat rzymski i schemat gallijski (lub „gallikański"). I nawet każda z tych grup godziła się na bardzo znaczną różnorodność modlitw lokalnych nawet w okręgach z sobą sąsiadujących, jak np. Auxerre i Autun, w dwu blisko siebie leżących prowincjach Francji, skąd to pochodzą dwa starożytne kodeksy liturgiczne, przechowywane w Bibliotece Watykańskiej — t.zw. „Mszał Gallikański" i t.zw. „Mszał Gotycki".

Jeśli na pewnych odcinkach geograficznych zachodu ruch i praca unifikacyjna zaczęły się już w wieku 6-ym to jednak nie rozwijały się ani szybko, ani systematycznie, dopóki nie stały się przedmiotem ogólnego zarządzenia administracyjnego. A nastąpiło to wtedy, gdy wobec pretensji protestanckich, zmierzających do głęboko idących zmian tradycyjnego wyglądu nabożeństwa, Ojcowie Soboru Trydenckiego uważali za konieczne wzmocnić w ten sposób jedność liturgiczną Kościoła łacińskiego. Poprzednio zaś dla zachowania jedności wiary katolickiej Stolica Apostolska zupełnie nie uważała na potrzebne unifikacji, ujednolicenia, któremu przecież wynalazek druku sprzyjał sam przez się — już choćby dla przyczyn ekonomicznych. Temu co mówię, już dostatecznie zaświadcza następujący fakt: w XIII wieku zakon dominikański, mimo, że zatwierdzony w Rzymie, zupełnie nie czuł się przez to zobowiązany do zachowywania zwyczajów liturgicznych dworu Papieskiego, (jak to, przeciwnie, uczynili wtedy Franciszkanie), lecz zachował i niósł wszędzie z sobą liturgiczne zwyczaje pochodzenia francuskiego, a więc te, które przejęli jego pierwsi synowie. Jest rzeczą oczywistą, że gdyby w jakiejkolwiek bądź formie Kuria Rzymska wyraziła życzenie — zwłaszcza, że Franciszkanie szeroko roznosili po świecie jej tradycje liturgiczne — aby czynili to i Dominikanie, zobowiązałoby to ich, aby również i oni stali się propagatorami jednolitości (powiedzmy: jednoobliczności) liturgicznej, o ile by taka była wola najwyższej władzy kościelnej. I widzimy także, że po Soborze Trydenckim rozmaite obrządki na Zachodzie zachowały swoją autonomię, nie tylko dominikańskie i kartuskie; wszyscy mianowicie wiemy o istnieniu obrządku ambrozjańskiego w Mediolanie, mozarabskiego w Toledo i specjalnego obrządku w archidiecezji Lionu, we Francji. Mnichowie łacińscy również odczytują brewiarz według porządku ułożonego przez św. Benedykta, innego niż rzymski, pomimo, że obie te formy, ostatecznie biorąc powstały z ustanowień św. Pachomiusza (w Egipcie).

Lex credendi, lex orandi: porządek i prawo wiary jest porządkiem i prawem nabożeństwa i modlitwy. Nabożeństwo publiczne, kult, jest w największej swej mierze zewnętrznym uwidocznieniem wiary wewnętrznej. Tak jest, ponieważ pierwsi chrześcijanie jak i pierwsi ich kapłani, — jedni i drudzy ożywieni tą samą wiarą, wiedzieli dobrze, że apostołowie nie uważali się zobowiązani, aby, w celu zarządzania kultem chrześcijańskim w pierwszych gminach, ustanowić jakiś wyodrębniony kodeks prawa liturgicznego, jak to miało miejsce przy sprawowaniu ofiar żydowskich, w częściach prawnych Pięcioksięgu, a specjalnie w Księdze Kapłańskiej. Jedno tylko ustanowili, jak możemy się domyśleć, a mianowicie dwa lub trzy główne, zasadnicze momenty liturgii eucharystycznej, ale ta znów z kolei wymaga i zakłada pełne wyznanie i znajomość wiary chrześcijańskiej. Takie wyznanie znajdujemy nawet w jak najbardziej skróconych „składach", jak np. formuła, którą kapłan rzymski, św. Hipolit umieścił w swej księdze o „Tradycji Apostolskiej". Jest to jeden z z pierwszych tytułów jego dzieł, zamieszczonych w spisie, wyrytym na słynnej rzeźbie znajdującej się w Archeologicznym Muzeum Laterańskim.

Hipolit, który miał zatargi z trzema następującymi po sobie papieżami, lecz umarł w jedności z swoją władzą prawowitą i znajduje się na liście świętych w starych kalendarzach Kościoła Rzymskiego, pisał swe dzieła w pierwszych latach trzeciego stulecia, na sto lat przed aktem Konstantyna i Soborem Nicejskim. Otóż, w niebardzo długiej modlitwie dziękczynienia, która odpowiada naszej prefacji, modlitwie, którą celebrans zaczynał wtedy anaforę (część konsekracyjna, dzisiejszy kanon — dop. tłum.), są wyrażone główne artykuły naszej wiary: Trójca Osób w jedności Jedynego Boga, Stworzenie świata poprzez Słowo, Wcielenie Syna Bożego, narodzonego z Dziewicy, ukrzyżowanie i śmierć Odkupiciela. Modlitwa rozwija się dalej w opowieść o ustanowieniu Najśw. Eucharystii, do której odnosi się czynność własna celebransa i kończy się jeszcze przed udzieleniem Sakramentu prośbą, by Duch św. dał tym, którzy mają otrzymać chleb eucharystyczny, wiarę utwierdzoną w prawdzie, z jaką mogliby wychwalać i czcić Jezusa, źródło chwały dla Trójcy Św. i Kościoła.

Jest rzeczą godną uwagi, że tekst liturgii rzymskiej, zastosowany tu u św. Hipolita w jego greckim oryginale, został jeszcze przed końcem czwartego wieku przetłumaczony na łacinę i rozpowszechniony na całą przestrzeń Cesarstwa Rzymskiego, oraz poza jego granice w przekładach koptyjskim, syryjskim, arabskim i etiopskim. Jest rzeczą doprawdy wzruszającą móc stwierdzić, że te same formuły i słowa ułożone w Rzymie gdzieś około roku dwuchsetnego, jeszcze i dzisiaj stosuje się codziennie w Etiopii, jako część składową t.zw. Anafory Apostołów, a to dzięki zdumiewającemu tradycjonalizmowi abisyńskiego narodu, który postawiony na uboczu w siódmym wieku, nadal zachował jednak zwyczaje równie dobrze cywilizacji rzymskiej jak i Kościoła rzymskiego, z którymi miał jednak tylko przez trzy wieki do czynienia i to w sposób raczej sporadyczny!

Widzieliśmy, jak to unifikacja liturgii dokonywała się jako refleks obrony przeciw herezji, czy to na Wschodzie (jednocześnie z triumfem obrządku bizantyńskiego nad innymi obrządkami patriarchów wschodnich), czy to na Zachodzie, po Soborze Trydenckim, w odpowiedzi na zakusy protestanckie. Również i ostatni etap unifikacji liturgicznej na Zachodzie w postaci zrzeczenia się bardzo wielu zwyczajów obrządkowych właściwych różnym diecezjom francuskim, w połowie XIX stulecia, dokonał się z niezupełnie liturgicznych przyczyn. Dom Guéranger, który tyle użył energii, aby osiągnąć ten rezultat, uważał po prostu rozprzestrzenienie się obrządku rzymskiego za najskuteczniejszy sposób, by wyeliminować pewne usposobienia gallikańskie. Rzeczywiście, upragniony skutek został osiągnięty całkowicie. Jednakowoż trzeba nam przyznać, że tam, gdzie heretycy nie stworzyli nowych ram czy nowych formularzy liturgicznych, nie wtłoczyli oni również w liturgię swych błędów dogmatycznych, szanując te teksty nabożeństwa, których używali przed zerwaniem jedności z Kościołem. Stąd to pochodzi fakt, że księgi liturgiczne, używane w gminach chrześcijan odłączonych, mogą wspaniale świadczyć przeciw ich własnym naukom. Tak np. liturgiczne modlitwy obrządku bizantyńskiego nie poprzestają na głośnym potwierdzeniu prymatu św. Piotra wobec innych Apostołów, nazywając Go nauczycielem i Wodzem wyższym ponad zespół swych towarzyszy w apostolstwie, a więc coś, co zupełnie przekracza zwyczajny prymat godności honorowej, lecz jeszcze wyznają, że następcy Piotra są Głową prawowiernego (= prawosławnego) 2) Kościoła. Jest to dosłownie powiedziane o Papieżu św. Leonie Wielkim w pierwszych nieszporach na 18 lutego. Papież św. Marcin I. głoszony jest w pierwszych nieszporach na 14 kwietnia „jako najchwalebniejszy przywódca prawdy prawowiernej (= prawosławnej), jako Głowa święta i prawdomówna boskich dogmatów". Zauważmy przytem, że grecki wyraz „apseudys" (który oddałem przez „prawdomówny"), oznacza również — specjalnie np. u Platona, tego który się nie myli". Powiedzenie o Papieżu, że się nie myli, gdy chodzi

---

2) Zaznaczyć należy, że Kardynał używa tu powszechnego w łacinie, francuskim, włoskim itd., jak i w greckim terminu „ortodox", „prawowierny", który językowo jednak pokrywa się ze słowiańskim „prawosławny". Stąd w polskim języku powstają pewne trudności natury psychologicznej. (Tłum.).

o prawdy dogmatyczne, nie bardzo jest dalekie od uznania jego dogmatycznej nieomylności.

I znowu gdy naprzykład chodzi o inną sprawę, będącą przedmiotem długich kontrowersji i sprzeczek między Wschodem i Zachodem od czasów Focjusza i później, tj. o pochodzenie Ducha Św.: nie brak w greckich księgach liturgicznych wyrażeń, które zawierają w sobie pojęcie pochodzenia „i od Syna" (słynne Filioque — dop. tłum.), np. takie, które mówią znów jako o „wychodzącym z Ojca, objawionym przez Syna", lub jako o „prądzie Boskości, płynącym z Ojca poprzez Syna"; — od dawna już teologowie zebrali takie miejsca o osobne zbiory.

Różnorodność obrządków nie narusza jedności Kościoła ani nie jest dla niej niebezpieczna. Przeciwnie! — ujawnia ją doskonale i dowodzi nam jej siły i mocy.

* * *

Gdy się np. widzi, jak obrzędy liturgii rozrastają się w różnorodną rozmaitość i wykwitają w najróżnorodniejsze piękno, nie sposób nie podziwiać tej tajemnej siły, która zachowuje w nich zawsze tę samą pierwotną formę nabożeństwa, z jednym i tym samym zasadniczym schematem: Rozpoczyna się modlitwą dziękczynną, zatacza wielki łuk w słowach sakramentalnych, przede wszystkim by dać miejsce wyrażeniu tej samej woli i intencji wspomnieniowej, błagalnej i jednoczącej. W jedności tego wspólnego zawsze schematu liturgii eucharystycznej wszystkie różnorodne ugrupowania chrześcijan wyznają, owszem, drogą implikacji, wewnętrznego niewyrażonego toku myśli i rzeczywistości, ale bardzo wymownie — jedność doktrynalną nauki chrześcijańskiej i jedność liturgiczną kultu i jedność dyscypliny — jedność, która znajduje się u źródła wszystkich tych ugrupowań razem wziętych i każdego z osobna, ile ich tylko jest.

Eugeniusz Kardynał Tisserant

Uwaga: Na tym kończy się część pierwsza odczytu. Po genetycznym przedstawieniu różnorodności obrządków na Wschodzie, ich przyczyn językowych i psychologicznych oraz tradycji patriarchalnych, Autor przechodzi na Zachód i wyraża przypuszczenie, że kiedy tu tych przyczyn nie było, nie powinno więc być różnorodności. A jednak — stwierdza — różnorodność była, powstała — i w pewnym zakresie pozostała, mimo unifikacji. Albowiem ma tu się do czynienia z prawem wewnętrznym nabożeństwa chrześcijańskiego, którego Stolica Apostolska nigdy nie zwalczała. Ma ono bowiem swe źródło u Apostołów, wyżej nawet: w sposobie, który Chrystus Pan zastosował sam. Zauważyć się przy tym godzi, że liturgie wschodnie, nawet u tych, którzy od jedności kościelnej odeszli, zachowują świadectwo fundamentu tej jedności

---

WIESŁAW STRZAŁKOWSKI

SONET

Słowa powikłane jak liście akacji,
Słowa pachnące jak winogrona,
O, siło ciemna asocjacyj
Tajemna i szalona;

O, nonsensie splątanych oracyj,
Co na ustach umarłych konasz,
O, prądzie nieznanych radiostacyj
Rozpiętych na nieboskłonach!

...A ja sam jeden słuchajacy
(I nikt ciebie inny nie słucha)
Jak liść potrącony niechcący
Wiatrem wieczności i ducha,
Przepływam jak potok wrzący,
Gdy ziemia wokół jest sucha...

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

O MICKIEWICZU — NOWE ŚWIADECTWO

MICKIEWICZ zajmuje w polskiej świadomości narodowej miejsce tak jedyne i tak wyłączne, że każdy nowy szczegół do niego się odnoszący nabiera od razu wartości przemożnej. Do tego zjawiska dochodzi i to drugie, że o takie nowe rysy mickiewiczowskie jest niezmiernie trudno, bo wszystkie możliwości zdają się tu od dawna wyczerpane. Mało chyba kto z wielkich postaci parnasu europejskiego ma tak przeoraną biografię jak właśnie Mickiewicz.

Otóż mamy dziś do zanotowania nowe nieznane dotąd świadectwo o Mickiewiczu — i to nie byle jakie. Dodaję od razu, że ukazało się ono niedawno w kraju, i tam jest już znane — aczkolwiek może nie zupełnie ocenione. Tu, dla nas, na emigracji, świadectwo to nie trafiło do naszej ogólnej świadomości.

Świadectwo, o którym myślę, nie pochodzi od byle kogo: idzie mi o fragmenty nieznanych dotąd listów Chopina do Delfiny Potockiej.

Legenda od dość dawna niosła, że istnieje duża korespondencja między Chopinem a Delfiną, ukrywana w archiwach rodziny Potockich. Przed jakimś czasem ukazały się w kraju fragmenty tych listów. Profesor Jachimecki włączył je do wydania listów Chopina w Bibliotece Narodowej, które pojawiło się w zeszłym roku jubileuszowym. Druk ukończono w lipcu 1949 roku, w Wrocławiu, gdzie obecnie Biblioteka Narodowa, w dawnym formacie i dawnej szacie ukazuje się nakładem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, przeniesionego, jak wiemy, w szczątkowej postaci ze Lwowa do Wrocławia.

Fragmenty tych listów do Delfiny, ogłoszone niestety w sposób jak najbardziej utrudniający ich wydanie, a uniemożliwiający wydanie krytyczne — nie znamy nawet ich daty! — są w treści swojej porywające i wręcz doniosłe dla tego, który umie się w ich sens wczytać.

Oto krótki tekst odnoszący się do Mickiewicza. Kto zna sposób pisania listów przez Chopina, jego absolutną bezpretensjonalność, naturalność, nieoglądanie się na żadne pozory, wzory, konwenanse, ten zrozumie od razu jak wierny autentyk waruje nam ta korespondencja w oddaniu zaobserwowanej przez Chopina rzeczywistości. Oto tekst Chopina:

„Znowu Mickiewicza widuję — onegdaj był u mnie. Zmienił się bardzo, tak sponurzał, że go ani piosenkami, ani Filonem — jak to dawniej — rozruszać nie mogę. Przyjdzie i wyjdzie, słowa nie powiedziawszy. Tyle, że wiem, po co przychodzi i zaraz grać siadam, każąc wszystkich od drzwi odprawiać, że to, niby mam lekcje, bo to towarzystwa nie lubi. Ostatnio bardzo długo mu grałem, bojąc się na niego oglądnąć, a słyszałem, że płacze. A potem, jak wychodził, sam pomagałem mu się ubrać, bom nie chciał, by go lokaj zapłakanego widział. Mickiewicz za głowę mnie ścisnął najczulej, a w czoło mocno pocałował, pierwsze tego wieczora wymówiwszy słowa: „Bóg ci zapłać! Przeniosłeś mnie..." nie dokończył, bo łzy go znowu za gardło ścisnęły. I tak się pasując z tym płaczem, wyszedł".

Ten wspaniały tekst jest bez daty. Kiedy go umieścić, w jakich latach? Sądziłbym, że gdzieś w latach paryskich przed wyjazdem do Lozanny, przed rokiem 1839 więc, ale już w latach wielkiego nasilenia lekcyj Chopina, i jego dobrobytu (lokaj!). Byłyby to jakieś lata trzydzieste szóste czy siódme, lata więc bliskie „Tadeusza": może dwa, może trzy lata po roku 1834: 1)

Stąd te przejmujące słowa Mickiewicza do Chopina: „Przeniosłeś mię...", które od razu wywołują w naszej pamięci słowa inne, słowa znane i umiłowane:

„Tymczasem przenoś moją duszę utęsknioną..."

Zyskujemy tu nieoczekiwanie, dzięki świadectwu Chopina żywy dowód interpenetracji „Tadeusza" i własnego poczucia Mickiewicza, nawet dowód wspólnej terminologii na wyrażenie uczuć własnych i w życiu codziennym i w wstępnej apostrofie eposu. Muzyka Chopina stanowi tu medium, falę przenoszącą. Już nie jak w epopei, Panna Święta Częstochowska ani Ostrobramska p r z e n i o s ł a tu duszę poety, ale właśnie muzyka Chopina. Słów tych nie można czytać bez prawdziwego, wstrząsającego wzruszenia.

I jeszcze jedno. W najprostszych słowach, nieledwie wstydząc się, notuje Chopin głębokie łkanie Mickiewicza. Bał się obejrzeć, bo słyszał że płacze. Sam mu palto podał, bo nie chciał by lokaj zobaczył. Jakżeż to wszystko wiarogodne.

O jednym może zapominamy, pisząc i mówiąc o Mickiewiczu. Zapominamy o tym, czym było Mickiewiczowskie cierpienie. Był to dogłębny wstrząs całego jego jestestwa. Jeśli można sobie wyobrazić cierpienie oceanu, którego fala wzdyma się i opada, prawdziwa l a m e d e f o n d, — takie właśnie cierpienie przyznać by trzeba Mickiewiczowi. Był zawsze taki i będzie do końca. Taka była cena jego improwizacji — w poezji i życiu.

Tak już było w „Żeglarzu", w roku 1821:

Co czuję, inni uczuć chcieliby daremnie!
Sąd nasz, prócz Boga, nie dany nikomu;
Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie.

Tak było przecież w Improwizacji:

Patrzę na ojczyznę biedną,
Jak syn na ojca wplecionego w koło;
Czuję całego cierpienia narodu,
Jak matka czuje w łonie bóle swego płodu.

Tak będzie wtedy, kiedy w marcu 1848 roku przeraził w Rzymie Krasińskiego, który o jego spowiedzi na Trinità dei Monti, u księdza Jełowickiego, spowiedzi z łkaniem i płaczem, powie, że miało się wrażenie, iż to Mojżesz z pobliskiego grobowca Juliusza II w San Pietro in Vincoli, Mojżesz Michała Anioła zszedł z pomnika, i bił głową w proch u konfesjonału...

To nie były li tylko słowa i wyrazy i obrazy poetyckie u Mickiewicza. Nikt nie umie zmierzyć cierpienia, tego olbrzyma, cierpienia, które warunkowało jego wielkość.

Łatwiej nam wymierzyć myśl Mickiewicza, nawet myśl jego, widoczną w jego dziełach. Któż zmierzy jego uczucie?

— Otóż Chopin, prościutko, nie bez zawstydzenia, taki moment głębokiego szlochu Mickiewicza usłyszał, zobaczył, ukrył przed lokajem, ale dla nas zachował.

Cóż to za jedyny w swoim rodzaju, wspaniały dokument, przez takiego człowieka zaobserwowany...

Trzeba do tego dodać parę słów krytyki i egzegezy.

Prof. Z. Jachimecki słusznie stwierdza w swoim wydaniu listów Chopina, że o każdym słowie powyższych fragmentów zaświadczyć mógłby dopiero autograf. A tego nam nie pokazano dotąd, nawet pod postacią fotografii. Teksty te są tak uderzające, że zdają się czasem prawdziwsze niż rzeczywistość. Tylko że — Chopin raz nam już takiego figla wypłatał. Gdy po raz pierwszy wydano jego notatnik stuttgarcki z r. 1831, w którym — zajęliśmy się tym niedawno na łamach „Myśli Polskiej" — przemawiał językiem Improwizacji na wiele miesięcy przed jej napisaniem przez Mickiewicza — zaczęto kwestionować autentyczność tej wypowiedzi i w kraju i zagranicą. Sceptycy musieli skapitulować, kiedy wreszcie notatnik stuttgarcki znalazł się w zbiorach warszawskich, wszystkim dostępny.

Sądzić wolno, że to samo się powtórzy z obecnymi fragmentami. Są one w stylu i zwrotach niezmiernie Chopinowskie.

Chciałbym tu podać parę przykładów z innych fragmentów, równie niedatowanych, dla przekonania czytelników, choć trochę znającego inne listy Chopina.

Przede wszystkim uderza tu złoty humor Chopina, tak naiwny i bezpośredni, a tak niezmiernie inteligentny i spostrzegawczy.

Jest więc w którymś fragmencie nawet — definicja geniusza czy genialności. Co to takiego?

„Najdziwniejszym z ludzi jest geniusz, ten tak daleko w przyszłość wybiega, że ginie z oczu ludzi z nim żyjących, a nie wiadomo, które pokolenie pojąć go zdoła.

„Jeniusz ma wielki nos i świetny wąchalitis, którym kierunek wiatru przyszłości wyczuwa. Nie myśl, że się na jeniusza sztyftuję, mając ogromne nosiwo, rozumiesz, że o innym nosie mowa".

Ileż razy w listach do kolegów i przyjaciół natrząsa się Chopin z swojego dużego nosa, tego nosa tak świetnie spostrzeżonego przez wielkiego Delacroix: To „nosiwo" jest całkowicie zgodne z resztą alluzyj Chopina do niego...

Cały „Fryc" w takim znów ustępie, nie byle jakim, bo charakteryzującym własne natchnienie i własną robotę muzyczną:

„...Jeżeli dzieło wypracowane improwizacją przypominać będzie, największe wrażenie uczynisz. A dlatego pierwsze myśli natchnienia złapać i zapisać trzeba na gorąco. Sama wiesz, że niełatwo, bo umieją wciągnąć jak błyskawice. A przypomnieć potem z całą precyzją trzeba. Słowem, zajmuje się, uważasz, łapaniem najmniejszych cieni natchnienia pierwszego, a one, hycle, jak pchły uciekają".

Cały Fryc! Tak dobrze kolegom i przyjaciołom znany z korespondencji.

Wracając do Mickiewicza, dodajmy jedno jeszcze. Świadectwo Chopina każe nam uwierzyć w wspomnienia i Liszta i pani Sand, które, dotąd, traktowaliśmy raczej pobłażliwie. Oba te źródła zachowały postać milczącego, ponurego, zasłuchanego w muzykę Chopina — Mickiewicza: „Odłączony od wszystkich innych — w salonie Chopina — ponury i milczący, Mickiewicz odcinał się swoją nieruchomą sylwetką; Dante północy, zdawał się zawsze czuć „gorycz obcej soli i trud wspinania się po obcych schodach", notował Liszt w książce Chopinowi poświęconej. 2)

Zaś George Sand zachowała również w swoich wspomnieniach obraz Mickiewicza wsuwającego się cicho w czasie gry Chopina i milcząco sadowiącego się w kącie:

„...Ściska w przejściu wyciągnięte ku sobie dłonie, szybko siada w kącie, prosząc o nieprzerywanie. Chopin gra dalej — wspaniale". Po chwili całe towarzystwo wychodzi, — bo coś się zapaliło w kominku w sąsiednim pokoju. Po godzinie „gaszenia pożaru" wszyscy wracają. „Gdzież jest Mickiewicz? Wołają go, nie odpowiada. Ależ tak — siedzi po dawnemu w swoim kącie, gdzieśmy go zostawili. Lampa zgasła, nic nie zauważył; dużo było hałasu i tupotu, nic nie nie usłyszał; nie zauważył, że się został sam. Słuchał Chopina — i słyszał go dalej". 3)

Ale Mickiewicz, jak wiemy, wolał Chopina nachodzić samego.

Wreszcie fragmenty nasze podają i słowa krytyki pod adresem wieszcza, usprawiedliwionej krytyki, dodajmy. Jakżeż dobrze, że nasz Chopin potędze perswazyj i namów Mickiewicza się oparł! Owszem, znalazł pomoc gdzieindziej:

„Norwid mię lepiej od Mickiewicza rozumie, bo kiedy Mickiewicz mnie do napisania opery narodowej popychał — Norwid, znając granice moje, nigdy się z czymś takim do mnie nie odezwał".

Ta szczypta pretensji do Mickiewicza mocniej jeszcze uwydatnia prawdę, wieczną prawdę, tamtej notacji.

Nie zapomnimy nigdy tego Mickiewicza, którego Chopinowska gra — przeniosła.

Władysław Folkierski

---

1) Raczej te lata, niźli lata 1840-e po powrocie z Lozanny. Chopin miał zasadniczą niechęć do towiańszczyzny i nie obeszłoby się pewno wtedy bez aluzyj do doktryny Mistrza Andrzeja. Chyba żeby „sponurzenie" Mickiewicza — za taką aluzję uznać.

2) „Séparé de tous les autres, sombre et muet, Mickiewicz dessinait sa silhouette immobile; Dante du Nord, il semblait toujours trouver „amer le sel de l'Etranger, et son escalier dur à monter..." (cf. Liszt, „Chopin", 1852). Ostatnie słowa są cytatą ze znanego ustępu „Boskiej Komedii".

3) ... Il serre affectueusement les mains et s'assied vite dans un coin, priant de continuer. Chopin continue; il est sublime... Après quoi nous disons: „Et Mickiewicz, oú peut-il etre?... Oh! si fait, le voilà, dans le petit coin ou nous l'avons laissé. La lampe s'est éteinte, il ne s'en est pas apercu; nous avons fait beaucoup de bruit... il n'a rien entendu... il n'a pas su qu'il était seul. Il écoutait Chopin; il a continué à l'entendre". Słowa Liszta odnoszą się do roku 1838, słowa pani Sand do r. 1841.

TADEUSZ PISZCZKOWSKI

300-lecie OGNIEM I MIECZEM 1)

U SZCZYTU CHWAŁY I NAD BRZEGIEM PRZEPAŚCI

PANOWANIE Władysława IV należało do najszczęśliwszych w naszej historii. U jego wstępu Koniecpolski zbił Turków pod Paniowcami, a sam król Władysław zbił Moskwę pod Smoleńskiem rozszerzając nabytki z okresu „smuty" i przywracając swoim państwom ich najdalszy zasięg na wschodzie. Potem zabezpieczywszy od tej strony kraj, będzie mógł król kusić się o rolę arbitra wobec stron walczących o przewagę w Rzeszy i w Europie zachodniej oraz myśleć o wyzwoleniu narodów chrześcijańskich południowo-wschodniej Europy spod zawisłości muzułmańskiej. Rywalizujące dwory europejskie będą się ubiegać o przyjaźń polskiego króla, a ojczysta Szwecja, która Zygmunta III pozbawiła tronu i jeszcze ścigała w jego granicach polskich, co prędzej zawrze pokój. Świeży dynasta moskiewski Michał Romanow, raz jeszcze doznawszy niepowodzenia w walce z Rzeczpospolitą, na łożu śmierci przykaże swemu synowi Aleksemu, żeby nigdy przeciw niej nie podniósł oręża. A nawet cesarz turecki, największy potentat ówczesnego świata, będzie wolał Polski nie zaczepiać i z niepokojem będzie słuchał o planach zaczepnych króla Władysława.

Żaden król polski nie posiadał tak imponującej listy tytułów: „Król polski, wielkie książę litewskie, ruskie, pruskie, mazowieckie etc., Szwedów Gotów i Wandalów dziedziczny król, wszej Rusi gospodyn i car, kazański, astrachański etc..." Żaden zaś z tych tytułów nie był czczym uroszczeniem tylko. Jeszcze świeża była pamięć hołdów jakie Władysław odbierał od przedniejszych bojarów jako car wolnowybrany i nigdy nie przestanie się on uważać za dziedzica tronu moskiewskiego. A odzyskanie ojcowego tronu szweckiego uważać będzie za cel swego życia i stąd się może weźmie jego religijna tolerancyjność, tak niezwykła u syna Zygmunta Wazy.

Potęga Władysława nie była jego dynastycznym dziedzictwem: była rezultatem mądrej polityki Jagiellonów i ich światłych doradców, którą pomnożyli Batory i jego rycerscy uczniowie, Zamoyski, Żółkiewski i Chodkiewicz. Tej potęgi Rzeczpospolitej nie zachwiały niepokoje niezgodnych z pragnieniami narodu rządów Zygmunta III. I świadomym tej jej potęgi był nie tylko król Władysław, miała jej dumne poczucie i ona samá, znali ją jej przyjaciele i wrogowie.

Ale siła Rzeczpospolitej, czego nie rozumiał król, a co instynktownie wyczuwali politycy szlacheccy, Koniecpolski, Stanisław Lubomirski i Sobieski — ojciec, nie była siłą dynamiczną, ale statyczną. Ustrój bowiem państwa uformowany w sposób misterny z różnych elementów, odmiennych pod względem etnicznym, kulturalnym i wyznaniowym, potrzebował długich lat względnego spokoju od zewnątrz, aby narody Rzeczpospolitej miały czas wytworzyć taką spójnię, której nic nie byłoby w stanie rozerwać. Wojnę z nieprzyjaciółmi traktowała Rzeczpospolita jako konieczność, kiedy się ona nadarzała, ale nie chciała jej sama szukać. Nie chciała więc zaczepnej wojny ani ze Szwecją, ani z Moskwą, ani z Turcją: Jej rzecznicy w radzie królewskiej i na sejmie godzili się na jedno, że trzeba radykalnie rozprawić się z Tatarami, właśnie poto, żeby Rzeczpospolita mogła zażywać pokoju i rozkwitać w siły, wtedy kiedy inne narody wolały trwonić je w nieustannych wojnach. Pokój był potrzebny zwłaszcza rozwijającym się gospodarczo a wciąż niespokojnym kresom południowo-wschodnim, gdzie wraz z fortunami pańskimi i szlacheckimi wyrastały miasta i osady, zaludniał się step. Zresztą w umysłach narodu wciąż jeszcze panowały ideje polityczne złotego wieku zygmuntowskiego, a hasło unii, braterskiej miłości narodów, nieść chciano dalej na wschód — do Moskwy. Pod tym względem okres pierwszych królów obieranych był tylko dalszym ciągiem poprzedniego.

Tak pojmowała zadania Rzeczpospolitej cała współczesna generacja, której duchowym ojcem był Jan Zamoyski: Olbrycht Radziwiłł, Zbarascy, Jakób Sobieski, Stanisław Lubomirski, Stanisław Koniecpolski. Ludzie rozważni, umiejący godzić swoje ambicje magnackie z interesami państwa, w polityce wewnętrznej raczej „regaliści", ale jednocześnie obrońcy zasadniczego porządku, który uważali za doskonały, byle istniała harmonia między królem a stanami, t.j. byle król szanował prawa Rzeczpospolitej. Zresztą nie mógł im imponować ani ustrój Rzeszy, będącej w rozkładzie, ani absolutyzmy monarchiczne, czy to typu zachodniego, czy wschodniego, niezgodne z ideałami republikańskimi Polaków, prowadzące do samowoli władzy i jej zwyrodnienia, a stąd i do wewnętrznych wstrząsów.

Inaczej widzieli sprawy państwa Władysław IV i jego zaufany minister, kanclerz w. koronny Jerzy Ossoliński. Władysław był przede wszystkim dynastą i miał swoje własne ambicje, a Rzeczpospolita miała mu służyć dla ich zrealizowania. Głównym motywem polityki i życia Władysława była żądza sławy. „Patrzał w sławę jak w słońce od pierwszych lat chłopięcych. Ona mu później była pochodnią rozświecającą umysł, zapalającą jego wyobraźnię... Gdy wstąpił na tron, postanowił ziścić nadzieje świata i swoje marzenia i jak drugi Aleksander Wielki... ogłosił w Rzymie przez usta Ossolińskiego, „urbi et orbi" swoje zamysły: zdobycie Moskwy i Szwecji, przeprowadzenie pokoju w Europie i wojna eksterminacyjna z niewiernymi..."*).

Były to cele tak śmiałe i tak sprzeczne z dążeniami i skłonnościami szlacheckiego narodu, że o ich przeprowadzeniu za tegoż zgodą i przyzwoleniem nie mogło być mowy. Rzeczpospolita nie przystałaby dobrowolnie na wprzęgnięcie jej do wojny o koronę szwecką lub moskiewską dla swego króla, ani do konfliktu na zachodzie Europy. A cóż dopiero mówić o zaczepnych krokach przeciw Turcji, kiedy od wieku kanonem polityki polskiej była z tej strony defensywa. Defensywa z honorem, pozwalająca na utrzymanie półkola buforowych państw chrześcijańskich, pozostających w częściowej zależności od Polski — i dzięki niej utrzymujących się przy życiu, jak Siedmiogród, Mołdawia i Wołoszczyzna.

Więc tylko podstępem, zapomocą faktów dokonanych, bez wiedzy stanów, w ostateczności przymusem, pragnął Władysław narzucić narodowi swoje plany.

Powiernikiem polityki króla był Ossoliński. Wychowany w Austrii w szkole jezuickiej, wyniósł Ossoliński z tej szkoły ideały które przyświecały monarchii habsburskiej, celów ponadnarodowych — i jednocześnie skłonność do metod tajnej dyplomacji, stosownej nie tylko w stosunkach zewnętrznych, ale i wewnętrznych. Monarchista w zrozumieniu ówczesnej Europy, monarchizm i cele dynastyczne stawiał na pierwszym planie i chociaż sam był arystokratą świeżej daty, nie ukrywał pogardliwego stosunku do demokratycznych urządzeń szlacheckiej Rzeczpospolitej. Władysław był wizjonerem i pochłonięty gorączką coraz to nowych pomysłów, w nieustannej grze dyplomatycznej w skali europejskiej, o sprawach wewnętrznych Rzeczpospolitej myślał niewiele, czuł się tylko skrępowany tymi więzami, jakie nakładał **konstytucyjny** porządek państwa.

Król był Wazą, ale Ossoliński był Polakiem. I dlatego myśl Ossolińskiego w nawale innych działań, zewnętrznej dyplomacji, w których uczestniczył przy królu, nie przestawała pracować nad problemami wewnętrznymi. Jego skrytym dążeniem była reforma ustroju Rzeczpospolitej w kierunku monarchii dziedzicznej i absolutnej, opartej o wierną tronowi arystokrację, tworzącą rodzaj bractwa (pomysły o „orderze"). Przeprowadzenie tej reformy mógł rozumieć tylko w jeden sposób, habsburski, stosowany i w Hiszpanii (w Aragonii) i w Czechach i na Węgrzech, t.j. jako gwałt na narodzie i jego instytucjach. Plany szweckie i tureckie Władysława mniej zdaje się **leżały** na sercu Ossolińskiemu niż ta własna myśl zamachu stanu.

Narzędziem takiego zamachu nie mogło być wojsko, jak było w imperiach Habsburgów, bo w Polsce było ono zasadniczo wojskiem narodowym, szlacheckim, Nie mogło też tego dokonać żadne wojsko zaciężne, gdyż Rzeczpospolita z obawy przed „absolutum dominium" nigdy nie lubiła tego wojska i ilość jego ograniczała. W granicach Rzeczpospolitej — na jej „ukrainie" (t.j. kresach) byli jednak ludzie zbrojni na wszystko gotowi, malkontenci istniejącego porządku — kozacy. Kozakom dokuczała wszechwładza szlachty i jej prawa, tak samo kanclerzowi. Kozacy chcieli na własną rękę „wojować z Turki" — Rzeczpospolita zakazywała. Także król chciał wojny z Turcją i trafiał na opór szlachty. Z natury rzeczy więc kozacy narzucali się jako sprzymierzeńcy zamysłów kanclerza, zaś plan króla wojny tureckiej stwarzał okazję dla ich urzeczywistnienia.

Tadeusz Piszczkowski

*) L. Kubala, Jerzy Ossoliński.

JAN BIELATOWICZ

MORALNOŚĆ W TEATRZE

ROZPOWSZECHNIONA jest opinia, że wszystko co jest sztuką — jest tym samym moralnością, że moralność nie ma więc wstępu także do teatru w charakterze sędziego czy recenzenta. Teatr wedle tego rozumowania posiada swoje własne prawa moralne, które najwyżej tolerują prawa Boże. Że jest owszem jakaś tam moralność w teatrze, ale niezależna, niepodległa, moralność teatralna.

Otóż moralność obowiązująca wszystko co ludzkie jest jedna: chrześcijańska. Wydawać by się mogło, że takie postawienie sprawy całkowicie zagadnienie wyczerpuje. Zgoła nie! — Moralność jest wprawdzie jedna i podlegają jej wszystkie ludzkie dzieła i wszyscy ludzie, ale ludzi bezwzględnie moralnych nie ma i życie ludzkie jest tylko walką o moralność, o świętość — przy powszechności ludzkiego grzechu. Celem człowieka jest świętość, drogą — walka z grzechem. Kościół katolicki składa się z ludzi i nie wyklucza ze swego łona grzeszników, przeciwnie grzesznikom poświęca ogromną dozę swej działalności i najpilniejszą uwagę, odcinają się tylko od niego ci, którzy Bogu przeczą lub nazbyt swobodnie Go sobie tłumaczą.

Najgłębsze ujęcie estetyki chrześcijańskiej zawdzięczamy scholastykom, a systematyczne jej ujęcie i literacki wykład Jakubowi Maritain. Nie obowiązują te poglądy katolików, ale są przez Kościół zalecone i niczego bardziej pozytywnego do tej pory przeciwstawić im nie można.

Sztuka chrześcijańska nie oznacza sztuki kościelnej ani sztuki moralizatorskiej. Sztuka chrześcijańska, to dobra sztuka, tworzona przez chrześcijan. Aby była godna miana sztuki, musi być dobra estetycznie. Aby zaś była chrześcijańska musi być dobra etycznie.

Dobra sztuka i dobry chrystianizm są zjawiskami zbyt rzadkimi i jeszcze rzadziej chodzą ze sobą w parze, aby można mówić o ideale sztuki chrześcijańskiej. Sztuka jest twórczością wolną, podległą własnym prawom, choć zdeterminowaną przez psychiczną dyscyplinę człowieka. Zdarza się niezmiernie często, że chrześcijanie tworzą dzieła niechrześcijańskie, ale zdarza się też, że niechrześcijanie tworzą dzieła zgodne całkowicie z chrystianizmem. Sztuka zatem chrześcijańska nie zamyka się w granicach wyznania ni kościoła.

Sztuka jest twórczością wolną, ale nie istnieje wolność absolutna, albowiem taka wolność równoznaczna jest z chaosem i anarchią. Istotą działania jest celowość. Jedynie świadomość celu i dążenie doń właściwymi drogami oznacza wolność. Wolność, to dobrowolny wybór i dobrowolnie wybrany kierunek.

Sztuka ma prawo używania swojej własnej drogi, jej też dobrym prawem jest zaglądać w przepaści, jednakże nie schodzenie ku nim. Sztuka artystów katolickich — chciałoby się rzec — jest właściwie sztuką grzeszników. Katolik bowiem, to grzesznik, to człowiek mający świadomość, że przyszedł na świat z brzemieniem grzechu i że ustawicznie grzechy popełnia. Toteż literatura katolickich pisarzy jest literaturą o grzesznikach lub o walce z grzechem. Święci, to zwycięzcy grzechu.

„Punktem — pisze Zofia Starowieyska-Morstinowa w „Tygodniku Powszechnym" (1. 8. 48.) — co do którego zachodzą ciągłe nieporozumienia jest to, że często uważa się, iż każda rzecz znajdująca się w książce pisarza katolickiego — nawet gdy jest nią powieść czy dramat — jest i ma być wyznaniem wiary, dogmatem podanym do wierzenia lub przykładem do naśladowania. Bardzo pilnie rozpatruje się dzieła katolickich pisarzy pod tym względem, szukając w nich stale pouczenia i morału. Od pisarza katolickiego wymaga się ustawicznego komentarza moralizatorskiego. Każde przedstawienie w powieści czy dramacie samobójcy, pijaka, człowieka złego prowadzenia, wywołuje „zgorszenie", o ile odrazu autor nie zaznacza, że uczynek taki potępia i o ile zły człowiek nie jest ukarany a dobry nagrodzony."

„Takie stawianie kwestii — często przez światłych nawet katolików — jest wielkim nieporozumieniem. Przede wszystkim ono właśnie jest niekatolickie. Nauka bowiem katolicka nie głosi nigdzie, iż złym zawsze powodzi się źle, a dobrzy zbierają na każdym kroku nagrody za swoją cnotę. Toteż takie stawianie kwestii jest nie tylko dziecinne, ale ma w sobie także i coś pogańskiego."

Albowiem „pisarz nie identyfikuje się z każdym przedstawionym zbrodniarzem, a gdy opisuje grzech, nie znaczy to, że go pochwala. Pisarz katolicki ma prawo mniemać, że czytać go będą ludzie rozsądni, ludzie o wyrobionym sądzie i sumieniu, którzy sami potrafią rozróżnić, co z opisanych ludzi i uczynków jest złe, a co dobre."

Zupełnie zatem niesłusznie uważa się każde dzieło pisarza katolickiego za wyznanie wiary, za dogmat podany do wierzenia, za niemal ewangeliczny przykład do naśladowania. W dziełach pisarzy katolickich stale się szuka nauk, zapominając, że wszak i one są dziełami wolnej twórczości, czyli sztuki. W słusznym buncie przeciw takim pojęciom stanął najwybitniejszy z żyjących katolickich pisarzy świata, Graham Greene, pisząc: „Moja przynależność do Kościoła katolickiego postawiłaby mnie jako pisarza w obliczu bardzo ciężkich problemów, gdyby mnie nie ratowała moja nielojalność". A drugi światowej sławy pisarz katolicki, Franciszek Mauriac, wyznaje: „Jeśli jest cel istnienia pisarza na świecie, to jest nim pokazywanie czynników, które obracają się przeciw Bogu w najwyższych, najszlachetniejszych charakterach..., a również wyjaśnianie tajemnicy źródeł świętości w naturach, które wydają się zgubione". („Bóg i Mamona").

„Sztuka —powiada wreszcie Maritain — która by chciała być absolutną moralnością i niewinnością, przypominałaby drzewo, które by rzekło: Chcę być drzewem i niczem więcej i będę rodzić owoce, które będą czystymi owocami. Dlatego nie będę rosnąć w ziemi, która nie jest drzewem ani w klimacie, który jest klimatem Prowancji lub Wandei, lecz nie klimatem drzewnym. Odgródźcie mnie od powietrza!" „Sztuka będąc ludzką, dlaczegóżby nie miała zależeć od natury przedmiotu, w którym się znalazła. Natura ta nie stanowi sztuki, ale ją warunkuje."

Nie wypada się więc gorszyć przedstawianiem swobody obyczajowej, zła i grzechu przez katolickich pisarzy, gdyż to jest jeden ze środków pisarstwa i nie oznacza, że się pisarz z każdą złą postacią swej wyobraźni i z każdym czynem solidaryzuje. Jest już sprawą czytelnika osądzić, co złe a co dobre. Dzieło sztuki nie jest elementarzem i nie może być katechizmem.

Jeden tylko istnieje warunek, sine qua nie ma moralności ani w teatrze ani w żadnej innej literackiej twórczości. Ostatecznym celem sztuki musi być dobro. Sztuka służy człowiekowi, ale nie jest jego celem ostatecznym i z celem tym nie może być w rozbracie. Obraza Boga nie może być pięknem.

Aby odsunąć podejrzenia o „ducha zakrystii" i „dewocję", posłużmy się przypomnieniem Platona. „Jeśli sztuka — pisze on w „Rzeczypospolitej" — rodzi przedmioty, których ludzie nie mogą używać bez popełniania grzechu, artysta tworzący takie dzieła sam popełnia grzech, gdyż po prostu daje sąsiadom okazję do grzechu, tak jakby ktoś dostarczył bałwanów dla czczenia ich. Sztuki, których produkty służyć mogą i dobru i złu, winny być dozwolone, jeśli jednakże produkty niektórych z nich służyć by miały w większości wypadków złu, powinny być w rzeczypospolitej usunięte..."

Sztuka nie ma prawa przeciw Bogu. Nie istnieje dobro przeciwne Bogu ani ultymatywne dobro ludzkie. Sztuka w swym własnym państwie jest suwerenna jak wiedza. Nie jest podporządkowana w swoim celu ani wiedzy ani roztropności ani żadnej innej cnocie. Ale zarówno dla swojego celu, jak i poprzez swój cel podporządkowana jest dobru tego celu, a znajdując się w człowieku i służąc jego wolności, jest zatem podporząd-

(Dokończenie obok)

„My z niego wszyscy“ powiedział Krasiński o Mickiewiczu. To samo może dziś powiedzieć o Cézann'ie każdy wybitniejszy malarz współczesny. Bonnard, Matisse, Picasso, Rouault... Szukając nazwiska Cèzanne'a w encyklopedii, najczęściej przeczytamy: malarz francuski ze szkoły impresjonistow (tak go naprzykład określa „Le petit Larousse“). Zdanie o tyle prawdziwe, że Cèzanne istotnie wyrósł z impresjonizmu i zawdzięczał mu szereg elementów swojej wizji. Ale wystarczy wyjść z sali impresjonistów i stanąć przed ścianą Cézanne'a na obecnej wystawie „Pejzaż francuski“ w Royal Academy, aby zobaczyć jaka olbrzymia odległość dzieli samotnika z Aix od Monet'a, Sisley'a, Pissara, Renoir'a; ci wszyscy to świetne samodzielne talenty; słowo „Cèzanne“ nie przystaje w mojej intuicji do epitetu „talent“ i jemu jednemu, wśród najpotężniejszych malarzy szkoły francuskiej z ostatnich lat stupięćdziesięciu (nie wyłączając Delacroix, Courbet'a, Van Gogha), ośmieliłbym się przyporządkować tytuł geniusza.

Paweł Cèzanne urodził się w 1839 r. jako syn prowincjonalnego bankiera w mieście Aix, w Prowansji francuskiej. Od lat najwcześniejszych ma-

kowana celowi człowieka i ludzkim cnotom.

„Dla człowieka tworzącego — pisze Maritain — dzieło jako takie wchodzi w granice moralne i taki jest jedyny jego cel. Jeżeli by artysta obrał sobie za cel ostateczny, za najwyższe szczęście swej działalności, za cel swej sztuki piękno swego dzieła i nic więcej, byłby po prostu mówiąc fetyszystą (idolator). Dlatego jest absolutnie konieczne dla artysty tworzyć dla czegoś więcej, niż dzieło, dla czegoś bardziej ukochanego. Bóg jest nieskończenie ważniejszym przedmiotem miłości, niż sztuka“. (Za przekładem angielskim „Art and Scholasticism“).

Cóż to bowiem jest dobro? Znany współczesny filozof katolicki, dr Stefan Świeżawski, pisze w książce pt. „Byt“, otwierającej oczy Polakom w Kraju na skarby myśli tomistycznej: „Pojęcie dobra związane jest jak najściślej z pojęciem celu i eliminując ze świata celowość, zatracamy zarazem i wszelkie zrozumienie dla dobroci jako dla powszechnej własności bytu“. „Dobro jest ...siłą abstrakcyjną bytu, jego powabem, dzięki któremu pragnienia i dążenia jestestw do bytu tego się kierują“.

Dobro to jest to, czego wszyscy pożądają: bonum est quod omnes appetunt. Jest to ład Boży i ludzki. Zło zaś to brak miary, brak harmonii i doskonałości, zwichnięcie równowagi zmysłów a przede wszystkim umysłu, który nie może poświęcić się rozważaniu, kontemplacji Prawdy, będącemu celem życia człowieka na ziemi.

Otóż dobro i sztuka spotykają się i łączą na drodze do ładu. Kultura, to jest także ład. Anarchiczne wyzwolenie się z węzłów ładu moralnego i artystycznego jest samobójstwem.

Dramat to jest konflikt praw moralnych z fatalizmem. Żadna wielka sztuka dramatyczna nie zawdzięcza swej mocy artystycznej lekceważeniu praw moralnych, ale właśnie zawdzięcza ją ukazywaniu konfliktów człowieka z celem ostatecznym. To nie jest niemoralność — ukazywać błądzącego człowieka. To jest tylko wierność życiu. O niemoralności może być mowa tylko w znaczeniu platońskim: gdy autor świadomie do tego zmierza lub też gdy nieświadomie gorszy.

Wszelkie próby szukania i ustanawiania innej moralności poza chrześcijańską — przynajmniej w granicach narodów chrześcijańskich — są burzeniem porządku moralnego, są niemoralne.

Moralność, to nie jest ani żadna umowa ani żaden słupek na zmiennej granicy ani żadna dewocja — moralność, to jest najistotniejszy czynnik kultury. Niemoralność jest po prostu brakiem kultury. Moralność w sztuce jest przede wszystkim postulatem kultury. Nie darmo przecież powietrze, w którym duchowo żyjemy, nazywamy kulturą chrześcijańską.

Jan Bielatowicz

MARIAN BOHUSZ SZYSZKO

PAWEŁ CEZANNE

rzył o drodze Sztuki, a równocześnie nie wykazywał żadnej zręczności w operowaniu ołówkiem lub pędzlem, zręczności, która z reguły bywa utożsamiana z talentem, a tak często nie ma z nim nic wspólnego. Ojciec Pawła, praktyczny i rzeczowy bankowiec, wzruszał ramionami na artystyczne aspiracje syna, karmiąc go zdrową sentencją: „Chłopcze uderz się w głowę — z talentem się umiera, z pieniędzmi się żyje!“ Z nakazu ojca młody Cézanne jedzie do Paryża, aby rozpocząć studia prawnicze. Tam też zawiązuje się przyjaźń Cézanne'a z Emilem Zolą. Po powrocie do Aix, Cézanne staje za kantorem ojcowskiego banku, aby po kilku miesiącach zerwać z tym zajęciem raz na zawsze i, ku rozpaczy ojca, pogrążyć się w malarstwie. I w samotności przez przeszło 40 lat, odludek z Aix, opętany manią sensu wizji barwnej, otoczony obojętnością i lekceważeniem najbliższych, kolegów i „znawców“, na setkach płócien będzie toczył zajadły, systematyczny, wydający się jemu samemu rozpaczliwy, bój o równowagę między notatką oka, a pokwitowaniem myśli — między wrażeniem a refleksją.

Siedzieli kiedyś przy stoliku zadymionej kawiarni malarze — nowatorzy, impresjoniści, między nimi Cézanne i Monet. Ten ostatni powiedział: „Sztuka to natura widziana przez temperament artysty“ Pyknął kilka razy z fajeczki Cézanne i dodał: „Przez **zorganizowany** temperament“.

Jak bardzo był samotny w swoim wysiłku niech świadczy takie zdarzenie. Dawny druh, Emil Zola, zdobył po latach sławę, powodzenie i oto zajechał z odczytem do Aix. Odszukano Cézanne'a malującego gdzieś w polu. Cézanne zostawił zaczęty pejzaż na stalugach i pobiegł powitać przyjaciela.

— Nie idź do niego — powiada spotkany znajomy — przed chwilą przypomniano Zoli, że tu właśnie jesteś; wzruszył ramionami: „Nie chcę znowu widzieć tego truposza“.

— Idiota, złoto go wydęło! — wykrzyknął, z oczami pełnymi łez, Cézanne. A Zola nie był pierwszym lepszym matołem... Już wtedy miał za sobą zwycięską bitwę, którą stoczył z opinią francuską o uznanie rzetelnych wartości impresjonistów... Rozdźwięk, który nastąpił między Zolą a Cézannem miał również głębszy podkład. — Zola był wojującym antyklerykałem — Cézanne był katolikiem z przekonania, a w ostatnim dziesiątku lat swego życia — katolikiem praktykującym.

Gdy Cézanne umierał w roku 1906, istniało już nieliczne grono ludzi, którzy niemal zdawali sobie sprawę kim był on właściwie.

A dziś po 44 latach od jego śmierci, gdy powszechna sława opromienia jego nazwisko, jest tak jak zawsze bywa z dorobkiem wielkich twórców: tylko nieliczni i wybrani rozumieją jego dzieło naprawdę.

Na czym polega istota tego dzieła? W malarstwie (i sądzę — wogóle w sztuce) istnieją prawa niezmienne, prawa, które obowiązywały (i obowiązują) we wszystkich wielkich szkołach malarskich: w Egipcie, w Chinach, w Indiach, w Persii, w Bizancjum, w sztuce włoskiej od Giotta do Tintoretta, w szkole holendersko-flamandzkiej od wieku XV do XVII włącznie, w hiszpańskiej w wieku XVII (Velasquez, El Grecco i Goya na przełomie XVIII i XIX wieku) w niemieckiej od XV do XVI włącznie, w ikonach rosyjskich z wieku XVII, w szkole francuskiej, która rozwijała się w sposób ciągły od wieku XV do dzisiaj... Oto niektóre z tych praw: obraz nie może łamać, paczyć wizualnie płaszczyzny, z którą jest zrośnięty zgodnie z naturą rzeczy. Drugie prawo (zresztą wiążące się z pierwszym) głosi, że zasadniczym elementem malarstwa, realizującym je w znaczeniu formalnym i emocjonalnym (!) jest Kolor (przez duże K).

Ostatnie zdanie łatwo nam zrozumieć opacznie, bo niezmiernie jest trudno rozłożyć na pojęcia prostsze, „wytłumaczyć“ przedmiot tego zdania — Kolor właśnie. Pojęcie to, w znaczeniu intuicyjnym, jest dane większości ludzi — i, wrażliwość malarska (odpowiednik „słuchu“ w muzyce), reakcja na kolor i zdolność konstatowania jego istnienia lub nie istnienia („kolor“ nie jest identyczny z kolorkowatością! Jest bodaj zaprzeczeniem tego ostatniego pojęcia) — jest warunkiem koniecznym (choć niedostatecznym) rzeczowego stosunku do malarstwa wogóle. Historia sztuki zna choroby, degeneracje w ujmowaniu koloru w malarstwie, paczące i manierujące całe środowisko kulturalne, niegdyś świetnie się rozwijające... W taką chorobę wpadło naprzykład wielkie malarstwo włoskie (od wieku XIV do XVI przodujące w inwencji plastycznej świata) w początkach wieku XVII, a jednym z ognisk tej choroby była szkoła Bolońska, z Akademią założoną przez Caracci'ch. Choroba ta w interpretacji koloru polegała na zatracaniu różnic barwnych w miejscach zacienionych. W tym malarstwie, tak zwanym „walorowym“ — miejsca ciemne, naprzykład na draperii czerwonej i zielonej, stawały się takim samym bezsmacznym (a raczej o obrzydliwym smaku) sosem brunatnawym... Zaraza przeniosła się z wyjątkowym nasileniem do Niemiec (Monachium, Düsseldorf) i do cna wypleniła z inwencji na 3 przeszło wieki — XVII, XVIII, XIX, XX sztukę niemiecką i te „sztuki“ narodowe, które z Niemiec brały zapłodnienie, naprzykład rosyjską lub niektóre gałęzie polskiej, oparte o Monachium... Wielką, oczyszczającą reakcją na tę zarazę, która też zagnieździła się w akademickich środowiskach Francji, była rewolucja, dokonana przez impresjonistów. Są oni, mimo swoich wad, „prawowierną“ szkołą malarską, bo opartą na prymacie koloru. Ale impresjonizm „rozpylił“ przedmioty w barwnej mgle powietrznej, zatracił umiar przemyślanej kompozycji w radosnym zachłyśnięciu się zewnętrzną wibracją świata. „L'oeil, seulement l'oeil, mais mon Dieu, quel oeil! *) wykrzykuje o Monecie Cézanne. Rewolucja impresjonistyczna została bodaj owocniej i płodniej wykorzystana przez Cézanne'a niż 70 lat przedtem rewolucja polityczna przez Napoleona.

Oto zasadnicze postulaty, które podkreśla dzieło Cézanne'a.

1. Zgodnie z tradycją wizji europejskiej, obraz mistrza z Aix nie jest płaską dekoracją. Z reguły **interpretuje** on przestrzeń, ale zawsze w myśl zasady „modelowania kolorem a nie walorem“ (to jest światłocieniem). Zdanie powyższe wygląda napewno niezrozumiale dla laika. Oto parę uwag, które to trudne pojęcie starają się wytłumaczyć. — trójwymiarowość bryły (naprzykład kuli) można pokazać na płaszczyźnie w jednokolorowym obrazie przez różnicowanie światłocienia. Ci, którzy „cieniowali“ gipsy w swych latach szkolnych wiedzą o tej prawdzie doskonale. Otóż, przechodząc z interpretacji jednobarwnej do koloru, można pokazać plany w obrazie, można „modelować“ (to jest pokazać przestrzenność) nie przez różnicę światłocienia, ale przez różnicę zestawień barwnych w znaczeniu jakościowym (a nie tylko ilościowym).

Nie będę wchodził w szczegóły tego naprawdę trudnego zagadnienia. Proponuję zainteresowanym, aby udali się naprzykład do Tate Galery i tam, w pejzażu ze skałami Cézanne'a, stwierdzili, że naprzykład formy na horyzoncie, a więc na tylnym planie obrazu, są tak samo mocno zarysowane jak i formy na planie pierwszym. A jednak **czujemy** że właśnie leżą one w tym planie dalekim, a nie w bliskim na obrazie! Nawet laik to zobaczy, a gdy skonstatuje, że tak jest właśnie — niech pomyśli jak artysta osiągnął ten efekt! Zapewniam, że będzie to pole do dłuższych i zajmujących rozmyślań...

Nie znaczy to, aby Cêzanne nie uznawał walorów (światłocienia). Odrzuceniem walorów (tak zwaną „dezintegracją obrazu“) posługiwali się liczni jego epigoni lub ideowi następcy. Cézanne zna walor i „używa go“, ale tak jak to czynili wszyscy wielcy twórcy w niezdegenerowanym malarstwie (naprzykład Wenecjanie: Bellini, Tycjan, Veronese, Tintoretto) — wiążąc z różnicą w nasileniu światła **odpowiednią różnicę** w jakości (a nie tylko w ilości) koloru... Ale poraz pierwszy kapitalna teza: „modelować kolorem a nie tylko walorem“, uświadamiana intuicyjnie przez wielkich malarzy europejskich przed Cézannem, została przez niego wypowiedziana wyraźnie. Nadmieniam, że jedynie realizacja tej tezy w malarstwie przestrzennym nie gwałci postulatu związania obrazu z płaszczyzną, w znaczeniu wizualnym.

2. Cézanne pierwszy nauczył nas, że kolor i rysunek w malarstwie są organicznie nierozerwalne. Masa barwna wywiera bowiem „ciśnienie wzrokowe“ na kształty je otaczające i jakość koloru, wypełniającego namalowany przedmiot, równie decydująco wpływa na jego odbiór przez wzrok, jak i kontur oddzielający przedmiot od innych. Stąd te słynne „deformacje“ cezannowskie; w znaczeniu geometrycznym i perspektywistycznym walące się butelki, wykrzywione twarze i postacie ludzkie, które, gdy nie przykładamy do nich cyrkla, wag i miary — dają wzrokowe wrażenie nieporównanej statyki i monumentalności.

W myśl tej zasady cezannowskiej jest więc nie do pomyślenia, aby można było narysować obraz a potem go namalować. Przecie dochodzący kolor rozsadzą kontury! Gdy systematycznie budujemy wizję kolorową w obrazie, wizję opartą na obserwacji świata zewnętrznego — to, co nazywamy kształtem dojrzewa organicznie wraz z dojrzewającym kolorem. I gdy kolor jest u szczytu — kształt jest u szczytu! Nie może więc być dobrze namalowany obraz, a równocześnie źle narysowany. Są natomiast obrazy „dobrze narysowane“, a źle namalowane.

3. Idąc po linii odwiecznych tęsknot człowieka do znalezienia uproszczonego sensu w bezmiarze kształtów zewnętrznych, Cézanne twierdzi, że każdą formę, najbardziej skomplikowaną wzrokowo, można sprowadzić do kombinacji najprostszych brył geometrycznych: stożka, sześcianu, kuli... Gdy widzimy cezannowskie drzewa, owoce, fałdy draperii, kształty ludzkie — wszędzie odkrywamy tę geometryczną upraszczającą tendencję, upraszczającą — nigdy banalizującą. Proszę naprzykład przypomnieć sobie obraz „Gracze w karty“ wystawiony przed rokiem w Tate Gallery na wystawie Instytutu Courtauld. Bo Cézanne nie uznaje spekulacji wogóle, a geometrycznej w szczególności, bez ciągłej, bezpośredniej kontroli obserwowanej z pasją natury. „**Refaire Poussin sur la nature!**“ powiada, a osobowość malarska Poussina jest dla niego symbolem geometrycznie uporządkowanej wizji malarskiej.

4. Przetopić wizję zewnętrzną natury przez myśl, bronić się przed jałowością i manieryzmem myśli w malarstwie przez oparcie się na stałym, oczyszczającym działaniu obserwacji — oto zasadnicza postawa Cézanne'a.

Do jakich granic odpowiedzialności przed sobą samym był doprowadzony tej bój bezpardonowy Cézanne'a z naturą, niech świadczy jego studium z Prowansji, na którego odwrocie jest wymieniona liczba kilkunastu posiedzień — a na samym pejzażu jest nie zamalowane miejsce z notatką: „tej plamy nie potrafiłem znaleźć“...

Po prawie 50 latach samotnych zmagań powstał świat malarstwa Cézanne'a. Wcielenie koloru — jedno z najświetniejszych jakie zna sztuka ogólno-ludzka. Świat w którym nie ma zręczności, a jest zawrotna głębia. Świat, w którym nie ma realizacji zdania: „udało mi się“ — a ciągle się ucieleśnia inne: „zbudowałem!“. Świat trudny — ale gdy stać nas aby wejść do niego poraz pierwszy — już nigdy nie zrezygnujemy z pragnienia, aby wkraczać weń poraz setny i tysiączny i zawsze znajdować widoki poprzednio nawet nieprzeczuwane.

I trawestując zdanie Norwida, może powiedzieć o sobie mistrz z Aix: „syn minie obraz, lecz ty zatrzymasz się przed nim, wnuku“.

Marian Bohusz-Szyszko

*) „Oko, tylko oko, ale — na Boga — jakie oko!“

STARE KLISZE — NOWE CZASY

PRZED pierwszą wojną wielkie mocarstwa ustalające normy prawa międzynarodowego uważały, „że nie mogło być zapewnione uznanie rewolucyjnego rządu, który by nie mógł wykazać się podtrzymaniem tego, co Jefferson nazywał — wolą narodu konkretnie wyrażoną“. Pogląd, że nie opanowanie narzędzi władzy, ale usankcjonowanie przewrotu przez wolę ludu decyduje o uznaniu, przeważał w postępowaniu Ameryki czasów Wilsona jak również Wielkiej Brytanii w tym samym okresie.

Oportunizm zwycięzców w pierwszej wojnie światowej, którym śpieszno było do handlowania z Bolszewikami mordującymi wówczas bezlitośnie swe warstwy kierownicze i swą inteligencję, doprowadził do wyłomu w zwyczajach dotąd stosowanych w prawie międzynarodowym. Okazało się, że nie opłaca się demokracjom operować pojęciem „woli ludów“, bo ważniejsze jest, — aby handel szedł. Do takiego światopoglądu zostało przystosowane i nowoczesne prawo międzynarodowe. „Praktyka, oparta na kryterium usankcjonowania przewrotu przez naród, pisze w „Times'ie“ prof. Lauterpacht, wykładający prawo międzynarodowe w Cambridge, przestała być częścią składową międzynarodowego prawa. Może wskrzeszona ona będzie kiedyś, gdy prawo człowieka do rządu, opartego na przyzwoleniu narodu, wejdzie w skład istotnego prawa narodów, będąc przytem opatrzone odpowiednimi gwarancjami“.

* * *

DZIWNIE brzmi wobec takiego postawienia sprawy ustęp Karty Atlantyckiej, w której w dniu 14 sierpnie 1941 r. Franklin Roosevelt i Winston Churchill chcąc zjednać sobie sojuszników, szumnie ogłaszali zasady, na których stosowaniu oparte były „nadzieje lepszej przyszłości dla świata“. „Ich kraje, oświadczyli wówczas, szanują prawa wszystkich narodów do wybrania tej formy rządów, która najbardziej im odpowiada“. Od tego czasu szanują one zgodnie nie prawa narodów, ale prawa ujarzmiających je dyktatorów. W interpretacji, którą daje prawu międzynarodowemu prof. Lauterpacht znalazło to już swoisty wyraz: „Z chwilą, pisze on, gdy rewolucyjny rząd ma zapewnioną możność utrzymania w posłuszeństwie mas ludności i to z widokami trwałości, i z chwilą, gdy sprawuje on efektywną kontrolę nad większą częścią narodowego terytorium, należy mu się uznanie“.

Jak widać — nowoczesne prawo drwi sobie z Karty Atlantyckiej a więc i z Karty Zjednoczonych Narodów. W każdym razie ktoś zadrwił wyraźnie z praw człowieka.

* * *

SCHLEBIANIE dyktatorom, zginanie karku przed siłą fizyczną przy publicznym poniewieraniu zasad moralnych jest polityka na krótką metę. Kto stoi na stanowisku uznawania siły, będzie musiał uznać, że siła zacznie kształtować prawo, stwarzając w stosunkach międzynarodowych fakty dokonane i niebezpieczne precedensy. Nikt ściślej od Politbiura nie śledzi napewno postępów zakłamywania się przedstawicieli cywilizacji zachodniej. Na przykładzie chińskim widzą oni, jak w pogoni za dawno zamortyzowanymi kapitałami Brytyjczycy usilnie pragną nawiązać stosunki dyplomatyczne z Czerwonym Pekinem i jaką do tego przywiązują wagę. Pragną je oprzeć, jak sami głoszą, „na zasadzie równości, wspólnych korzyści i wzajemnego poszanowania suwerenności i terytorium“. W interpretacji znaczenia każdego z tych słów obie strony napewno się różnią.

By ten rozdźwięk podkreślić Chińczycy w odpowiedzi na zapowiedź rządu brytyjskiego o wysłaniu p. Hutchisona jako chargé d'affaires a d i n t e r i m do czasu mianowania ambasadora chytrze odpowiedzieli, że uważają p. Hutchisona jako „wysłannika do Pekinu dla prowadzenia rokowań w sprawie ustalenia stosunków dyplomatycznych“. Czy to nie znaczy, że mogą zażądać różnych koncesyj, a może i zmian w klauzulach Chino-Brytyjskiego traktatu?

Czy można mieć wątpliwości, iż w pojęciu Mao-Tse-Tunga pod formułką „poszanowania terytorium“ należy rozumieć zwrot Chinom przez Brytyjczyków Hong-Kongu?

Uznanie gwałtu i siły, opartej na współdziałaniu przytem obcego mocarstwa w złudnym mniemaniu, że to uratuje majątek obywateli, musi doprowadzić do wejścia na drogę odwrócenia ról. Uznawany będzie żądał okupu ze strony uznającego za nawiązanie z nim stosunków dyplomatycznych, a więc za zdobycie teoretycznego przywileju ochrony przed gwałtem jako metody rządzenia. Dojść wreszcie będzie musiało do tego, że nie demokracje uznawać będą rządy dyktatorów, ale wypadnie im zabiegać o uznanie ich rządów przez dyktatorów.

Z podeptania „prawa wszystkich narodów do wybrania tej formy rządów, która im najbardziej odpowiada przez tych, którzy obiecywal je „szanować“ musiano logicznie dojść do zwyrodnienia form współżycia narodów.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

VOIGT O GRECJI

Znakomity publicysta brytyjski F. A. Voigt w parę miesięcy po wypuszczeniu w świat swej „Pax Britannica“, w której sprawa polska znalazła tak szerokie uwzględnienie, ogłosił nową książkę, tym razem specjalnie poświęconą Grecji („The Greek Sedition“, Hollis and Carter, 10 sh. 6d.). Voigt badał stosunki w Grecji na miejscu i stąd rzecz jego jest szczególnie interesująca.

Zdaniem jego, zmagania, które toczyły się i toczą jeszcze w Grecji, stanowią walkę religijnego nacjonalizmu z antynarodowym dogmatyzmem komunizmu. Voigt jest bodaj pierwszym spomiędzy publicystów Zachodu, który przypisuje religii tak wielką rolę w wewnętrznym życiu politycznym Grecji.

ANGIELSKIE WYDANIE KSIĄŻKI BLISS LANE‘A

Książka b. ambasadora Stanów Zjednoczonych w Warszawie, Arthura Bliss Lane‘a „I Saw Poland Betrayed“, która pojawiła się w Ameryce z górą rok temu, wyszła obecnie w Londynie pod nieco zmienionym nagłówkiem: „I Saw Freedom Betrayed“ (Regency Publications 15 sh.). „Times Literary Supplement“ w swej krótkiej recenzji stwierdza, że książka ta mimo raczej jaskrawego tytułu, daje rzetelny opis wydarzeń trzech krytycznych lat w Polsce, — wydarzeń, które przekonały autora, że wysiłki Zachodu w kierunku zjednania Rosji powieść mogły tylko do klęski.

UTWORY SCENICZNE HENRY JAMESA

Mało jest wiadomo, że jeden z najsubtelniejszych powieściopisarzy angielskich, Henry James (1843 — 1916), przyjaciel Conrada - Korzeniowskiego, był zarazem dramaturgiem. Ubolewał on nad niskim stanem angielskiej twórczości dramatycznej i nad zalewem scen londyńskich przez kiepskie przeróbki sztuk francuskich — i to skłoniło go do spróbowania swych uzdolnień pisarskich także w dziedzinie teatralnej. Pierwsza sztuka, ktorą napisał w r. 1881, stanowiła sceniczną adaptację jego powieści „Daisy Miller“; sztuka ta nie została nigdy wystawiona na scenie. Niektóre z dalszych utworów dostały się na deski sceniczne, lecz nie miały powodzenia. Było to w części przynajmniej wynikiem faktu, że James (podobnie jak Conrad, który też napisał trzy utwory sceniczne) był zbyt wielkim artystą jako powieściopisarz, by móc całkowicie przestawić się na wymagania sztuki teatralnej. Rzeczy te, jak się zdaje, nie często idą w parze.

Niemniej angielskie koła literackie z zadowoleniem przyjęły fakt wydania zbiorowego utworów scenicznych Jamesa w jednym dużym tomie („The Complete Plays“, edited by Leon Edel, cena 35 sh.). Równocześnie pojawił się osobno zbiór szkiców i artykułów Henry Jamesa o sztuce teatralnej („The Scenic Art. Notes on Acting and the Drama. 1872 — 1901“, edited by Allan Wade, cena 21 sh.). W artykułach tych James niezmiernie ostro krytykuje brytyjską publiczność teatralną i recenzentów. Obie książki ukazały się nakładem firmy Hart-Davis.

KOŚCIÓŁ I PAŃSTWO

Pojawiła się w druku druga serja bardzo interesujących opracowań, czytanych w londyńskim towarzystwie im. św. Tomasza Morusa (Thomas More Society); towarzystwo to stanowi dziś jeden z najpoważniejszych katolickich ośrodków intelektualnych w Anglii. Zbiór obecny poświęcony jest zagadnieniu stosunków między Kościołem a państwem („Under God and the Law“, Oxford 1949, Blackwell, cena 10 sh 6 d).

WYSTAWY W LONDYNIE

W Royal Academy (Piccadilly) odbywa się obecnie bardzo interesująca wystawa krajobrazu w sztuce francuskiej. Wstęp 1 sh 6 d.

W Leicester Galleries (Leicester Square) wystawione są angielskie obrazy i rysunki ze zbioru Howarda Blissa, od Gainsborough po Hitchensa. Wystawa otwarta jest od godz. 10 do 5,30, w soboty od 10 do 1.

W Foyle‘s Art Gallery (Charing Cross Rd., W.C.2.) odbywa się wystawa rzadkich map hrabstw Anglii. Otwarta codziennie od 9 do 6 (łącznie z sobotami) aż po dzień 4 lutego br. Wstęp wolny.

JAN TOKARSKI

REFLEKSJE NA TYDZIEŃ UNIJNY

PODAWALIŚMY niedawno w ŻYCIU krótkie omówienie niezwykle ciekawej wymiany listów i dyskusji na temat Kościoła katolickiego oraz możliwości współpracy z nim Kościoła anglikańskiego. — dyskusji, jaka się toczyła na łamach „Times‘ów“. Dziennik ten o charakterze niemal półurzędowym, odzwierciadla także opinie hierarchii anglikańskiej. Prasa irlandzka zaś donosiła niedawno, że arcybiskup Canterbury, głowa duchowieństwa anglikańskiego, wysłał swego przedstawiciela do Ojca św.

Zarówno dyskusja w „Times‘ach“ jak i gest arcybiskupa Canterbury są oznaką tego wielkiego ruchu do jedności, jaki od dość dawna panuje wśród chrześcijan odłączonych. Zbiega się on z nieustającą serdeczną troską Stolicy św. W ostatnich czasach nie ma Papieża, który by w najbardziej wzruszających słowach nie dawał wyrazu ojcowskiej tęsknocie Głowy Kościoła Chrystusowego o jedność nie tylko wszystkich chrześcijan, ale wszystkich ludzi wierzących w Boga. Trzy lata temu Pius XII wyraził się do delegacji mahometan Arabów: — Przed wiekami Poprzednicy Nasi wzywali chrześcijan do walki z waszymi ojcami. Dziś Ja, ich Następca, wzywam was do wspólnego frontu wszystkich, którzy wierzą w jedynego Boga przeciw największemu nieszczęściu naszych czasów — ateizmowi. W ostatnim orędziu gwiazdkowym Pius XII wygłosił przejmujący do głębi apel o wielki powrót do Chrystusa całej ludzkości, gdyż: **„Wszyscy ludzie są naszymi synami, nawet ci, co nas opuścili, nawet ci, co nas znieważyli, nawet ci, co nam sprawiają mękę serdeczną“.**

Oto wyraz porywającego uniwersalizmu Kościoła! Kościół jest Chrystusem mistycznie żyjącym i przedłużającym jego życie historyczne. Jak Chrystus — najczulszą miłość kieruje przede wszystkim w stronę grzeszników, w stronę swych wrogów i prześladowców i każdym z nich, który wraca do domu Ojca, raduje się bardziej, niż dziewięćdziesięciu dziewięciu świętymi. Przytoczone słowa Ojca chrześcijaństwa uczą nas „poznać... jaka jest szerokość i długość i wysokość i głębokość i poznać przewyższającą wszelką naukę miłość Chrystusową“. (Ef. 3,18 — 19). Miłość, która nie odtrąca nikogo, czeka na wszystkich, nie wątpi o nikim, a grzesznika i błądzącego umieszcza w samym sercu Kościoła.

Nie zdziwiłoby nas, gdyby w Watykanie powstał **nowy urząd**, jakaś **Święta Kongregacja Jedności Chrześcijańskiej.** Celem jej byłoby przeprowadzanie studiów i badanie warunków tego wielkiego choć czasem nieśmiałego a nieraz okrężnego ruchu ku powrotowi, jaki obserwujemy wśród chrześcijan zachodnich odłączonych od Rzymu.



Watykan, Galeria obrazów. Rys. Rafael *(Alinari)*

NAWRÓCENIE SZAWŁA

W dniach od 18 — 25 stycznia, to jest od Święta Katedry św. Piotra do święta nawrócenia Szawła, odbywa się co roku w Kościele oktawa modłów o jedność chrześcijańską.

Trzy są główne powody, dla których katolik przez modlitwę i działanie osobiste winien całym sercem brać udział w dziele unijnym: Wola Chrystusa, wyrażona w Jego modlitwie o jedność w Wieczerniku; — Dobro naszych braci odłączonych i tych, którzy Jezusa jeszcze nie znają; — Obowiązek rozszerzania Kościoła.

W tym numerze ZYCIA sprawie unijnej poświęcony jest artykuł wstępny i poniszy.

Sprawa zaś chrześcijan wschodnich zarówno utrzymujących jedność ze Stolicą Apostolską jak i od niej oddzielonych, choć ściśle jest związana z poprzednią misternymi węzłami, dawno już jest przedmiotem prac specjalnych Kongregacyj, studiów i śmiałych przedsięwzięć Stolicy Piotrowej, które tak nieraz szokują niektórych ciasnych katolików, umniejszających i Kościół i wiarę, widzących tu „złudzenie Watykanu“ albo „politykę“.

Dodać należy, że oprócz tych dwu wielkich spraw — odłączonych chrześcijan zachodnich i wschodnich — możnaby dostrzec przenikanie świadomości prochrześcijańskiej także w łonie Islamu a nawet Żydostwa. Aczkolwiek droga wydaje się jeszcze daleka do zrealizowania pełności Kościoła w rozmaitości ras, kultur, obrządków, to jednak warto stwierdzić, że stajemy w obliczu zmian, gotujących się na skalę olbrzymią.

W świetle zwłaszcza ostatniego orędzia Ojca św. każdy katolik, który żyje życiem Kościoła, widzi jasno, że to zagadnienie wielkiego powrotu, (a więc szeroko rozumianej Unii jak i Misyj), i nasz udział w nim jest dla wiernych — może najmniej określonym w swej zasadzie, ale z pewnością najważniejszym i najbardziej uniwersalnym dziełem. Obowiązku zaś i zasad współpracy w tym rozszerzeniu Królestwa Bożego nie należy szukać w tablicach Prawa ale „w przynagleniu naszej duszy ochrzczonej“. (O. Charles, La prière apostolique).

Jest to tak wielki a równocześnie — nie wahajmy się użyć tego określenia — tak straszliwy obowiązek katolika, że jeden z teologów współczesnych nie waha się wyrazić obawy — ze względu na ten obowiązek właśnie — „czy rzeczywiście jest to tak bardzo pewne, że, według nazbyt obiegowej formuły, zbawienie wewnątrz Kościoła jest zawsze łatwiejsze... Oczywiście nie w tym sensie, aby zapoznawać wartość środków Łaski, które stoją normalnie do dyspozycji każdego wiernego. Lecz jakim nadużyciem stałaby się ta prawda, wykorzystywana jako pretekst do bezczynności, jak gdyby sam fakt, że znajdujemy się in Ecclesia, w Kościele pociągał za sobą to, że jesteśmy de Ecclesia, z Kościoła“? (Henri de Lubac, Catholicisme; Les aspects sociaux du dogme).

Niestety, te zasadniczej wagi sprawy interesują tylko nieliczne polskie jednostki. Ogół, zwłaszcza inteligencji, bywa na nie głuchy. A równocześnie nawet nie dostrzega tego, co tylu najlepszych „świętych poza Kościołem“— jak ich ze strony katolickiej nazwano — pociąga i przyciąga do Kościoła. Nieogarniony duch jego szerokiej i głębokiej miłości wielu z nas po prostu drażni, tak jest przeciwny naszym nałogom i zrostom uczuciowym, naszej parcjalności, cząstkowości, jednostronności, naszemu brakowi poczucia uniwersalizmu, naszemu duchowi ghetta, który sprawia, że jak ów ślepy śpiewak zawodzimy swoje trele w pustym pokoju, nie zdając sobie sprawy, że już nas nikt słuchać nie chce.

Trzeba nam wyjść z naszego ghetta zarówno historyczno psychicznego, które nie pozwala nam widzieć świata jako całości jak i ghetta naszego „katolicyzmu o ścieśnionych widnokręgach“.— jak go nazywał kard. Hlond. Zerwijmy z ciągłymi trelami, na temat „historycznych zasług Kościoła polskiego“ i z tanim wspominkarstwem, jeśli ma ono służyć do ciągłego zamykania się w wieży z kości słoniowej, by — słowa śp. Prymasa Polski — we wspomnieniach katolickiej przeszłości szukać usprawiedliwienia dla dzisiejszego oportunizmu lub nietwórczej służby w okopach. Tymczasem dawne zasługi, (pomijając już to, że przy tych wspominkach omijamy skrzętnie nasze grzeszne zaniedbania, a niektóre nawet podnieśliśmy do rzędu zasług np. — grzechy wobec Unii zarówno politycznej jak i religijnej) są tylko historią, która odeszła i nie zawraca. „Żadna moc, pisał kard. Hlond, nie skreśli Kościoła z przyszłych dziejów naszych. Ale żywotność jego od nas zależy. Historią są dawne zasługi i zdobycze. Nie chciejmy żyć wspomnieniami! Żyjmy teraźniejszością! Zdobywajmy przyszłość polską dla Chrystusa.“

Wcale nie chodzi o to, aby pozbywać się wartości, które są naszym głosem własnym, polskim, w domu wspólnego Ojca, a co i obcy podziwiają i na co spoglądają z sympatią, jak o tym świadczy także niedawny głos w piśmie dominikanów oxfordzkich „Blackfriars“. Katolicyzm bowiem jest nie tylko darem nieba ale także „owocem ziemi“ na której się rozwija, podobnie jak Chrystus, który przyszedł z nieba, ale jest również kwiatem Jessego, wkorzenionym w całą ludzkość. Nie miał natury idealnie podobnej do naszej: miał tę samą naturę. „Dominus dabit benignitatem, et terra dabit fructum suum“. Chrześcijaństwo będąc Boskie, całkowicie Boskie, jest także w pewnym sensie ludzkie, całkowicie ludzkie, właśnie tym bardziej ludzkie im bardziej Boskie i przenikając — bez śladu rozdarcia— tkaninę dziejów człowieka, przetwarza go i odnawia oblicze ziemi... (H. de Lubac).

Chodzi o coś zupełnie innego. O świadomość, że jakkolwiek nasz typ religijności i nasz typ kultury może nam odpowiadać, nie jest to ani jeden ani jedyny typ. Nie może być nawet miarą oceny innych rodzajów religijności ani innych typów kultury. Od XVIII stulecia Europa zamyka się coraz bardziej w barbarzyńskim przesądzie, że reprezentuje uniwersalny wzór kultury. Za tym przesądem poszedł przesąd katolików, że, aby się nawrócić np. z pogaństwa na katolicyzm, trzeba najpierw nawrócić się na „europejskość“, na „cywilizację zachodnią“, a potem dopiero można zostać katolikiem, „prawdziwym“ a więc oczywiście łacińskim i w rzymskim obrządku. Tymczasem Kościół nie podziela ani naszych przesądów, ani naszych uprzedzeń, ani naszych jednostronnych upodobań. Nie twierdzi też, że całe słońce świeci nad Zachodem, zostawiając resztę świata w cieniu. Kościół nie jest ani łaciński, ani grecki, ani słowiański, lecz katolicki, to znaczy powszechny. Pragnie, aby wszyscy zostali katolikami, lecz wcale nie twierdzi, że wszyscy mają być łacinnikami w rzymskim obrządku. Razem ze swym Boskim Założycielem, mimo naszych podpowiedzi, nachyla się z miłością nad nieogarnioną rozmaitością kultur, swoistych odrębności, tradycyj, przyzwyczajeń, i szanując je wszystkie, mówi: „W domu Ojca mego jest mieszkania wiele“. Jest mu obcy wszelki duch imperializmu kulturalnego, „wie bowiem, że cywilizacje,

FREUD OFIARĄ PSYCHOANALIZY

Twórca teorii psychoanalizy, która tak wielki wywarła wpływ na psychologię, medycynę i literaturę, Sigmund Freud po śmierci swej sam stał się przedmiotem badań, które przeprowadzał i zalecał. Dokonała tego Helen Walker Puner w wydanej niedawno książce „Freud, His Life and His Mind“ (Grey Walls Press, cena 12 sh 6 d). Autorka wywodzi, że, cała emocjonalna sfera życia Freuda zdeterminowana została przez pewne przeżycia jego dzieciństwa. Do przeżyć tych należało chłodne ustosunkowanie się doń jego ojca w przeciwieństwie do uwielbienia, jakim darzyła go matka. Na tym tle rozwinęła się u Freuda nienawiść do ojca, która przerzuciła się na kuzyna (Hansa) i jego towarzyszy. Drugą dominującą cechą podświadomego życia Freuda, według autorki, miała być jego niechęć do faktu, że był Żydem, choć na zewnątrz zawsze podkreślał swą solidarność ze społeczeństwem żydowskim.

Zdaniem recenzenta „John O‘London‘s Weekly“ książka p. Puner jest nowym dowodem, że metoda psychoanalityczna, choć pożyteczna pod wielu względami, nie może nigdy dać nam pełnego obrazu rozwoju ludzkiej indywidualności.

Syn Freuda, Martin, publicznie zaprotestował przeciw książce p. Puner, zarzucając jej brak taktu i ścisłości.

tak samo odrębne jak i osoby ludzkie, nigdy nie dadzą się sprowadzić do jednej, zawsze są i będą różne". Nigdy też nie zastąpi swej imponującej jedności płynącej z bogatej różnorodności nędznym uniformizmem. Albowiem: „Jam jest we wszystkich językach; moim jest grecki i syryjski, moim hebrajski, moim jest język wszystkich ludów, gdyż jestem w jedności wszystkich ludów" — pisze św. Augustyn.

Kiedyś twierdzono, że los Europy związany jest z losem chrześcijaństwa. Dziś twierdzi się, jakoby los chrześcijaństwa był związany z losem Europy i że zginie ono pod jej gruzami... Do niedawna też wyobrażano sobie, że należy po prostu uzachodnić Wschód, teraz twierdzi się, że mrzonką jest chrystianizacja Wschodu, bo chrześcijaństwo jest związane „z jedną kulturą i sposobami myśli, która nie jest uniwersalną". — Oto skutki niewłaściwego uzależniania rzeczy w całkiem inny sposób powiązanych. Zamiast przyznać się do klęski myślenia imperialnego, kolonialnego, na terenie religijnym, zrodzonego z nieuzasadnionych poglądów o rzekomo uniwersalnym charakterze zachodniego typu kultury, mówi się o klęsce religii. To nie chrześcijaństwo jest za ciasne. To nasze myśli o nim były i są za ciasne. Przez wieki całe wydawało się niektórym, że uniwersalność Kościoła polega na tym, aby na całym świecie modlono się po łacinie, w kościołach takich samych jak w Italii czy Francji, przed kopiami obrazów wielkich mistrzów Europy zachodniej. Łączono swój smak, swoje wyobrażenia i nastawienia, upodobania i odrazy „z religią Bożą, która nas tak mało przeniknęła. Mamy oddawać dusze Bogu, a nie podbijać je dla siebie, mamy dawać im Boga, a nie narzucać siebie samych". (de Lubac).

Jeden z wielkich scholastyków wyraził tę myśl następująco: „Każdy naród według swej ojczyzny śpiewa w Kościele jego Twórcy". To też — dodaje komentując to zdanie Ojciec de Lubac — kiedy Chrystus zmartwychwstały objawia się przyjaciołom, przybiera oblicze wszystkich ras, a każdy słyszy Go we własnym języku".

•

Oto parę myśli na czas oktawarium modlitw o jedność chrześcijańską. Jak wiemy, idea tej oktawy zrodziła się z inicjatywy protestanckiej i została przyjęta przez Kościół. Jej celem jest realizacja modlitwy arcykapłańskiej Chrystusa „Ut omnes unum sint": Aby wszyscy jedno byli. Pierwszy dzień (18 stycznia) poświęcony jest modlitwom o jedność wszystkich chrześcijan. Drugi — odłączonym chrześcijanom Wschodu, najbliższym braciom naszym. Trzeci — anglikanom. Czwarty — protestantom Europy. Piąty — protestantom Ameryki. Szósty — katolikom, którzy zobojętnieli na sprawy wiary i apostatom. Siódmy — nawróceniu Żydów i Mahometan. Ósmy — nawróceniu całego świata pogańskiego.

Kończy się oktawa w dniu święta nawrócenia św. Pawła. On bowiem, który „wszystkim stał się wszystkiem" jest na wieczne czasy wzorem apostoła chrześcijańskiego.

Jan Tokarski

NOTATKI FRANCUSKIE

NA SCENACH PARYSKICH

W ślad za innymi krytycy teatralni usiłują zbilansować pierwszą połowę XX-go wieku scen francuskich. Wyłączają naogół z tego okresu kilkanaście lat początkowych, w których „teatr poetyczny" Ed. Rostand i jego naśladowców stanowił jeszcze jakby wydźwięk wieku poprzedniego. Gabriel Marcel, filozof, pisarz sceniczny i krytyk teatralny „Nouv. Littéraires" sytuuje początki XX-towiecznego teatru francuskiego od powstania sceny Vieux Colombier, pod kierunkiem Jacques Copeau, i działających w jego duchu Charles Dullin (zmarłego ostatnio), Louis Jouvet i Gaston Baty — pełnych inicjatywy i dużej miary artystów. Do tego znakomitego szeregu aktorów-reżyserów należy również Georges Pitoëff, emigrant rosyjski, nieżyjący dziś również, który na współkę z żoną, Ludmiłą Pitoëff, zostawili na scenach paryskich swój ślad niezatarty.

Nowe natchnienie, które Copeau wprowadził do teatru francuskiego, umożliwiło najniespodziewaniej zbliżenie znakomitych poetów i powieściopisarzy współczesnych z teatrem. Balzac, Stendhal i nawet Flaubert próbowali szczęścia na scenie, wszelako bez rezultatu, wówczas gdy Giraudoux, Mauriac, Montherlant, Claudel, Cocteau, Camus, Jules Romains, Sartre osiągnęli pierwszorzędne teatralne sukcesy. G. Marcel przypisuje to pewnej giętkości, na którą się zdobywa współczesny inscenizator i asymilująca różne style nowa forma dramatyczna.

Do wyróżniających się dziś w pierwszej linii pisarzy scenicznych zaliczają krytycy Jean Anouilh'a, Sartre'a, Salacrou i Camus'a (jako autora Kaliguli), z najmłodszych wymieniają Georges'a Neveu („Plainte contre Inconnu"), Bernarda Luc („Nuits des Hommes") oraz André Roussin w rodzaju komicznym.

Naczelnym „animateur'em" współczesnego teatru jest bez wątpienia inteligentny aktor i pełen inwencji reżyser, znany już też całemu światu jako aktor filmowy — Jean Louis Barrault.

Ze sztuk, o których się dziś mówi w Paryżu, należy wymienić „L'Homme de Cendre" André Obey'a (Com. Franc. Salle du Luxembourg), dramat w którym autor podjął raz jeszcze, po tylu innych, nieśmiertelny temat Don Juana: zuchwały uwodziciel, przez los nad miarę obdarzony, cynik i bluźnierca, nigdy nienasycony i wiecznie aż po śmierć za czymś goniący.

W teatrze Marigny cieszy się wielkim powodzeniem melodramat pseudo-historyczny (w. XVII) Le Bossu, przeróbka z obszernej awanturniczej powieści Paul Féval'a (z poł. ub. wieku), w inscenizacji Barraulta, bardzo efektownej i zbytkownej. W Théâtre Sarah Bernhardt grają wydobytą dosłownie „z rupieci" sztukę A. Dumas La Dame aux Camélias, która, mimo swego wieku, sentymentalizmu oraz intrygi całkiem już z innego świata (a może właśnie dla tego?) cieszy się niesłabnącą frekwencją publiczności. W dużej mierze sztuka ta „stoi" dzięki nieporównanym darom scenicznym Edvige Feuillère w roli tytułowej. W Saint Georges grana jest sztuka R. C. Sheriffa pt. Miss Mabel. W roli tytułowej, dobroczynnej trucicielki, występuje Ludmiła Pitoëff, wkładając w tę złożoną postać całą wrażliwość i doświadczenie swego wielkiego talentu.

W małym teatrze Oeuvre, dla wyborowej publiczności, grana jest ostatnia sztuka Gabriel Marcel: „L'Homme de Dieu". Udramatyzowane idee filozoficzne autora są przedstawione w ściśle psychologicznym dramacie pewnego pastora i jego rodziny. Atmosfera gabinetu tegoż pastora, w którym toczą się cztery akty sztuki poza czasem i krajem zdaje się nieprzewietrzana od lat 50-ciu; sztuka żywo przypomina teatr Ibsena i Strindberga. Mimo te zastrzeżenia, stawiane przez autora problemy oraz postaci dramatu budzą żywe zainteresowanie i są bardzo sugestywne.

Zauważmy w końcu, że w Comédie Française, poza wielkimi francuskimi klasykami, Otellem w nowej inscenizacji, sztukami Musseta, Asmodeuszem Mauriaca, Soulier de Satin Claudela, komediami Becque'a i Jules Renard'a grana jest od dłuższego czasu ku stałej radości widzów heroiczna komedia, tak lekceważonego przez literatów Ed. Rostanda — Cyrano de Bergerac. Żywotność tej sztuki zawiodła przewidywania najbystrzejszych krytyków. —

Przeciągający się strajk muzyków orkiestrowych Opery oraz Opéra Comique zmusiły oba te teatry do dłuższej bezczynności, sprawiając zawód licznym gościom i turystom zagranicznym odwiedzającym Paryż w okresie świątecznym. Wreszcie zażegnany strajk skończył się dopiero w pierwszych dniach b. roku, ale przedstawień w obu teatrach dotychczas jeszcze nie wznowiono.

Tim.

Paryż, 10.1.50 r.

MIĘDZYNARODOWE BIURO POSZUKIWAŃ IRO AROLSEN/KASSEL, poszukuje:

AUGUSTYN Jerzy, (imiona rodziców: Józef i Zofia z domu WRÓBLEWSKA), ur. 21.3.1926 w Stryju; prawdopodobnie przebywał ostatnio w Indiach;

CIEŚLINSKA Krystyna Kamila, (imię matki: Natalia), ur. 13.3.1928; prawdopodobnie wywieziona do Niemiec;

CZERNIS Edward, ur. 14.1.1908; wywieziony w czerwcu 1943 r. z Gdyni do obozu konc. Mauthausen;

DOBSKI Marian Zygmunt, (imiona rodziców: Jan i Anna z domu SULKÓW); zaginął podczas powstania warszawskiego;

FAJERTAG Wanda, ur. 1921; aresztowana przez Gestapo w Warszawie i osadzona przy Alei Szucha;

HOROWICZ Franciszek, ur. 1899; mieszkał w Borkowie koło Warszawy; wywieziony podczas powstania warszawskiego do Niemiec;

PŁONCZYŃSKI Stefan, lat mniejwięcej 60; wywieziony podczas powstania warszawskiego do obozu konc. Buchenwald, a stamtąd do obozu Dora koło Nordhausen;

PODPORA Ludwik, (imię ojca: Ludwik), ur. 1899; prawdopodobnie wywieziony w roku 1944 do Niemiec;

ROSIK Zofia, lat mniejwięcej 44; wywieziona w r. 1941 z Rosji do Persji;

SELINGER Witold, ur. 1926 w Czyżewie, Polska; był w niem. Armii; ostatnia wiadomość z marca 1944 r.;

SITKIEWICZ Piotr, imiona rodziców: Piotr i Janina z domu WRÓBLEWSKA; ur. w Wincentowie pow. skierniewicki; był w niem. Armii; prawdopodobnie wywieziony do Ameryki albo do Afryki;

SITKIEWICZ Stanisław, imiona rodziców: Piotr i Janina z domu WRÓBLEWSKA; ur. w Wincentowie, pow. skierniewicki; był w niem. Armii; prawdopodobnie wywieziony do Ameryki albo do Afryki;

STEKIEL Stefan, ur. w wrześniu 1906 w m. Glinica, woj. poznańskie; był w polskiej Armii we Włoszech; ostatnia wiadomość z roku 1943/1944;

SZOK Józef, ur. 28.12.1924 w Nowym Barkocinie, Polska; był w niem. Armii i prawdopodobnie dostał się do niewoli; ostatni znany adres: Feldp. Nr.: 35297-D;

URBAN Piotr, ur. 1926 w Zaleszczykach Małych; był w rosyjskiej Armii i dostał się do niemieckiej niewoli, prawdopodobnie wyemigrował później do Anglii;

WOJEWSKI (imię nieznane), lat mniejwięcej 38-40; wywieziony w roku 1943 z Gdyni do obozu konc. Stutthof.

AMIELJANOW Michał (rodzice: Wasyl i Maria), ur. 1916 w m. Wilejka; ostatnia wiadomość z jednego z obozów jenieckich w Niemczech;

ASMAN Wacław (rodzice: Józef i Julia z domu KASZEWSKA), ur. 20.5.1898 w Warszawie; wywieziony podczas powstania warszawskiego do Niemiec;

BABECKI Władysław (rodzice: Jan i Anna), ur. 11.6.1924 w Warszawie; ostatnia wiadomość w marcu 1944 z Pawiaka w Warszawie;

BAŃKOWSKA z domu JANUSZEWSKA Zofia, ur. 1908 w m. Stary Staw, wywieziona 1943 do Niemiec;

BAŃKOWSKI Ryszard, ur. 1928 w m. Horochów, woj. Łuck, Polska, wywieziony 1943 do Niemiec;

DEMBEK Ludwik (rodzice: Jan i Jadwiga Laszewska z domu PEDYNKOWSKA), ur. 14.8.1914 w Grudziądzu; prawdopodobnie przebywał ostatnio w Kairze;

GALA Jan albo KOPECKI Alojzy, ur. 11.4.1895 w m. Jabłonkowo, Polska; aresztowany przez Gestapo w lipcu 1944 w m. Mielec i wywieziony do obozu konc. Oranienburg; ostatnia wiadomość z grudnia 1944;

HOMA Henryk (rodzice: Andrzej i Barbara), ur. 8.6.1931 w m. Siedleczko, Polska; ostatnia wiadomość w styczniu 1942 z Teheranu;

JAGIEŁŁO Anna, ur. 13.5.1931 w m. Nehrybka, pow. Przemyśl; ostatnia wiadomość w maju 1942 z Iranu;

KWIECIŃSKI Julian, ur. 12.9.1895 w m. Koło albo Lida, Polska; był w obozach konc. Dachau i Natzweiler;

ŁADANOWSKI Włodzimierz, ur. 1917 w m. Pomorzany, Polska; ostatnia wiadomość w roku 1943 z Londynu;

LALASZ Maksymilian, ur. 19.7.1922 w m. Maksymilianów, pow. Bydgoszcz; ostatnia wiadomość z Florencji, Włochy;

ŁANOWA Helena, ur. 22.7.1932 w m. Podhajczyki, Polska; ostatnia wiadomość z m. Uganda, Afryka;

ŁANOWA Genowefa, ur. 3.9.1922 w m. Podhajczyki, Polska; udała się w roku 1948 z m. Uganda, Afryka do Włoch; prawdopodobnie przebywa obecnie w jednym z obozów DP w Niemczech;

MENDYKOWSKA Jadwiga (rodzice: Karol i Anna), ur. 25.7.1929; ostatnia wiadomość 1945 z Dresden, Sachsen.

X. W. M.

„ZAPISANI" I „POPUTCZYKI"

W dekrecie św. Officjum z 1.VII.1949, stanowiącym kary za komunizm formalny, za przestępstwa związane z wydawnictwami komunistycznymi i za komunizm ideowy, istnieje pewne subtelne rozróżnienie, dotyczące pierwszej kategorii tych przestępców, to jest „komunizmu formalnego", czyli nie zawierającego uznania materializmu i antychrześcijaństwa. To subtelne rozróżnienie komunistów formalnych na „zapisanych i „współdziałających" dało podstawę do komentarza słusznego, lecz dalej niesłusznie komentowanego.

Dekret św. Officjum mówi jednako o karze pozbawienia sakramentów, zarówno dla komunistów „zapisanych", („qui nomen dant"), jak i „współdziałających" („qui favorem praestant", zwanych z sowiecka „poputczykami"). Różnica, nie uwydatniona w dekrecie, wynika w dalszym stosowaniu prawa, szczególnie kanonu 2355, o ekskomunice na należących do towarzystw zakazanych. „Zapisani" pod nią podpadają; „poputczyki" — nie, gdyż do „zakazanego towarzystwa" nie należą; dotyka ich tylko pozbawienie sakramentów. Różnica jest dość subtelna, gdyż przecie pozbawienie sakramentów jest główną treścią ekskomuniki.

Na tym subtelnym rozróżnieniu, (pominiętym właśnie dla tej subtelności w artykule „Watykan a Kreml"), oparte jest jedno zdanie w „Osservatore Romano" z 27.VII.1949:

„Są liczni katolicy, którzy oszukani przez przywódców komunistycznych, lub pobudzeni pragnieniem zmian społecznych, popierają komunizm nie podzielając jego nauki; ci ostatni nie wpadają w ekskomunikę".

Zdanie to jest zupełnie słuszne. Nie wpadają rzeczywiście w ekskomunikę: Dosięga ich jedynie pozbawienie sakramentów. Komentarz „Osservatore" jest ścisły, co jasne się stanie dla każdego, kto go przeczyta w całości.

Niektórzy komentatorzy tego komentarza potraktowali jednak to zdanie w oderwaniu rozumiejąc, że przeciwko tym oszukanym, i pragnącym reform „poputczykom" dekret wogóle się nie zwraca, o ile nie podzielają, na równi z komunistami ideowymi, materializmu i antychrześcijaństwa, i o ile nie są „zapisani" do partii. Tego zaś ani w komentarzu „Osssservatore", ani w samym dekrecie dopatrzyć się nie można: komentarz nie zwalnia bynajmniej „poputczyków" od kary, tylko rozróżnia pomiędzy „ekskomuniką" a „pozbawieniem sakramentów". Ekskomunika jest dla „zapisanych", pozbawienie sakramentów dla „poputczyków".

Pozatem jest w dekrecie ekskomunika dla komunistów ideowych, i jest pozbawienie sakramentów za niektóre czyny, związane z wydawnictwami komunistycznymi. Ale co do tych nie ma żadnych wątpliwości.

X.W.M.

KATOLICY W MOSKWIE

Amerykański ambasador w Moskwie z lat 1946-1949, gen. Bedell Smith, ogłasza w prasie angielskiej i amerykańskiej swe wspomnienia moskiewskie. Pisze on tam m.in. o jedynym czynnym kościele katolickim w tym mieście, — t.zw. kościele francuskim.

„Gdy byłem w Moskwie, był tam tylko jeden „cudzoziemski" kościół — mały katolicki kościółek św. Ludwika, króla Francji, zbudowany przed rewolucją przez kolonię francuską. Przydzielony był do tego kościółka duchowny amerykański, ks. Leopold Braun, w wyniku porozumienia między prezydentem Rooseveltem, a ówczesnym sowieckim ministrem spraw zagranicznych, Litwinowem, gdy w roku 1933 Stany Zjednoczone uznały dyplomatycznie Rosję Sowiecką.

Ks. Braun obsługiwał wśród wielkich trudności swą moskiewską parafię przez lat 11, także i przez długi trudny i pełny doświadczeń okres wojny. W roku 1945 został zastąpiony przez innego Amerykanina, ks. Jerzego A. Laberge.

Poczęści dlatego, że ks. Laberge umiał mówić kazania po rosyjsku zarówno, jak po angielsku i francusku, a rosyjski odłam wiernych, uczęszczających do tego kościoła, był liczny. Wkrótce po wojnie, duchowny francuski, ks. Thomas został posłany do Moskwy, by pomagać księdzu Laberge w opiece nad wiernymi, mówiącymi po francusku. Ilekolwiek byłem w tym kościele, Rosjanie zapełniali tłocznie cały gmach, nie wyłączając naw bocznych.

Już po moim powrocie do Stanów Zjednoczonych, władze sowieckie, przez szereg charakterystycznie zawiłych machinacyj, wyeliminowały ks. Laberge, cofając mu wizę, oraz ograniczyły działalność ks. Thomasa wyłącznie do cudzoziemców, przez co sowieccy parafianie tej jedynej katolickiej parafii zostali skutecznie odizolowani od zagranicznego kontaktu".

Nie potrzeba dodawać, że ci „sowieccy parafianie" kościoła katolickiego w Moskwie, to są w lwiej części miejscowi, moskiewscy Polacy.

Gen. Bedell Smith opisuje również życie religijne ludności prawosławnej w Moskwie i stwierdza, że uczucia religijne tej ludności, wbrew wszystkiemu, co rząd sowiecki uczynił dla ich wykorzenienia, są nadzwyczaj żywe i gorące, zwłaszcza, ale nie wyłącznie, wśród starszej generacji. A nawet trafiają się i wśród dygnitarzy.

„Trwanie nieujarzmionego życia duchowego — kończy swe wywody na tematy religijne gen. Smith — jest zarazem ważną i tajemniczą dziedziną, którą można dostrzec w sowieckim państwie. Ważną, bo może ona któregoś dnia rozstrzygnąć o sile i kierunku sowieckiego wysiłku narodowego i jego wpływie na świat. Tajemniczą, bo jest pobudzana przez siły i rządzona przez prawa o charakterze samorzutnym, których nawet sam Kreml nie jest w stanie zmierzyć".

Gen. Smith podkreśla, że jedną z cech życia sowieckiego jest sztuka udawania. Pod powłoką udawania, mogą się kryć nurty uczuć religijnych silniejsze, niż można przypuszczać. Na polu walki z religią, Kreml bezsprzecznie przegrał.

Z LISTÓW DO REDAKCJI

„WPÓLNOTA PRACY“

Szanowny Panie Redaktorze!

W pierwszym roku swojego istnienia „Życie“ zamieściło serię artykułów p. Jakuba Sobieskiego (n.p. w nr. 7-ym i 14-ym) o francuskich „Wspólnotach Pracy“, czyli jednostkach gospodarczo-społecznych, które chciałoby się nazwać falansterami opartymi na zasadach katolickich.

Byłoby bardzo pożądane, aby „Życie“ znów kiedy powróciło do tego tematu i poinformowało czytelników o dalszych losach tego niezmiernie doniosłego eksperymentu. Czy Wspólnoty Pracy podzieliły los szeregu wcześniejszych prób tej kategorii i zamierają po wyczerpaniu się początkowego entuzjazmu? Czy też przeciwnie, wykazują znamiona trwałości i wzrostu? Czy ich przykład może coś dodać do dyskusji na temat ustroju społeczno-gospodarczego najbardziej zgodnego (lub najmniej sprzecznego) z zasadami katolickimi, a dostosowanego do wymagań uprzemysłowionego świata?

Łączę wyrazy szacunku

A. Malkiewicz

143 Warrender Park Rd.
Edinburgh, 9.

Od Redakcji.

Zwracamy się w tej sprawie do p. J. Sobieskiego.

PYTANIE i...

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem w noworocznym numerze ŻYCIA artykuł X. W. M. List Pasterski Episkopatu belgijskiego wraz z uwagami Redakcji zamieszczone w przedostatnim (8.1.1950) numerze ŻYCIA a dotyczące tego samego tematu stanowiły niezmiernie pożądane dopełnienie wywodów X. W. M.

Z ubolewaniem stwierdzić muszę, że wśród większości polskiego społeczeństwa emigracyjnego dekrety Kongregacji Świętego Officjum, o których mowa w cyt. wyżej artykułach ŻYCIA, są albo całkowicie nieznane albo zupełnie mylnie interpretowane — i to zarówno wśród inteligencji jak i wśród warstw mniej wykształconych.

Jeżeli chodzi o ludzi prostych, to o ile coś słyszeli o tej sprawie (zazwyczaj jednak nic o niej nie wiedzą), to rozumieją to jako „klątwę“ rzuconą przez Papieża na komunistów. Skoro oni sami komunistami nie są i w dodatku przez komunizm panujący w Kraju zmuszeni są do przebywania na emigracji, zatem w ich rozumieniu sprawa ta po prostu żadnego Polaka na wygnaniu nie dotyczy.

Jeśli chodzi o inteligencję, to trudno znaleźć kogoś, ktoby o sprawie tej nie słyszał, jednakże równie trudno znaleźć kogo' zdającego sobie dostatecznie sprawę z obowiązków i ograniczeń, jakie na każdego katolika, bez względu na miejsce i charakter jego pobytu, nakładają postanowienia dekretów. Zdarzyło mi się kilkakrotnie zwrócić uwagę osób inteligentnych i wykształconych na skutki nieprzestrzegania ograniczeń nałożonych dekretami. Niezmiennie pierwszym odruchem było zdziwienie z domieszką pewnego oburzenia, że w wątpliwość zostaje podana nie tyle katolickość co patriotyzm Polaka na emigracji — że Polak na emigracji wogóle, a dana osoba w szczególności jest tak uodporniona na komunizm, że ograniczenia wynikające z dekretów po prostu jej dotyczyć nie mogą... Próbowano mi nawet udowodnić, że postanowienia dekretów są w takim razie w konflikcie z podstawowymi wolnościami słowa, myśli itp.

Przesyłając te spostrzeżenia do wiadomości Pana Redaktora korzystam z okazji, by poprosić o wyjaśnienie kilku spraw, niedość jasno, moim zdaniem, zaakcentowanych w dostępnych mi komentarzach do Dekretów, a mianowicie:

1. R a d i o — czy wolno katolikowi słuchać audycji stacji radiowych krajów zza żelaznej kurtyny; jeżeli niedopuszczalne jest słuchanie wiadomości i komunikatów o charakterze politycznym (co osobiście uważam za przesądzone) — to czy zakaz obejmuje także audycje literackie i muzyczne?

2. P r a s a — czy zakazem również są objęte wydawnictwa:

a. ekonomiczne,

b. nie-polityczne, za jakie powszechnie się w Anglii uważa szeroko wśród emigracji polskiej abonowaną „Stolicę“.

c. naukowe wydawnictwa Uniwersytetów i Towarzystw naukowych;

3. K s i ą ż k a — co należy uważać za kryterium szkodliwości książki wydanej po wojnie w jednym z krajów zza żelaznej kurtyny (firma wydawnicza, autor, treść...)?

W związku z tym ostatnim punktem pragnąłbym zasugerować by Redakcja ŻYCIA zechciała kiedyś miarodajnie oświetlić sprawę t.zw. „książek na indeksie“ i w ten sposób położyć kres powszechnie tu panującemu chaosowi pojęć.

Łączę wyrazy szcunku i poważania

Z. Ossowski

(Adres znany Redakcji)

ODPOWIEDŹ

OD REDAKCJI: Dekret św. Officjum należy brać sensu strictissimo. Dekret mówi wyraźnie, że nie wolno czytać żadnych **wydawnictw** (czasopism, broszur, książek) propagujących ateizm i filozofię materialistyczną. Dotyczy więc — jeśli o ten punkt chodzi — **wydawnictw,** a nie audycyj radiowych.

2) Prasa: Objęta zakazem czytania jest prasa zwalczająca Boga i Kościół i głosząca filozofię materialistyczną. (NB: Objęta zakazem jest **wszelka prasa** zwalczająca Boga i Kościół, nie tylko komunistyczna). Ponieważ Stolica św. parokrotnie wyjaśniała, że Dekret ma cele religijne a nie polityczne, ekonomiczne itp., wynikałoby, że wydawnictwa ekonomiczne, wydawane za żelazną kurtyną oraz wszelkie inne nie służące propagandzie ateizmu i materializmu, Dekretem nie są objęte. Najlepiej jednak nie narażać się na niepokój sumienia i w wypadkach wątpliwych — poradzić się swego duszpasterza. Jeśli ktoś z ważnych powodów musi czytać zarówno prasę komunistyczną jak i niekomunistyczną, lecz również zwalczającą Boga i Kościół, winien postarać się o pozwolenie czytania u swej władzy duchownej.

3) Konsekwentnie też — za kryterium szkodliwości książki, wydanej za żelazną kurtyną, należy uważać t r e ś ć podpadającą pod orzeczenie Dekretu.

4) O zasadzie indeksu napiszemy przy okazji. **RED.**

Zbiórka paczek
dla chorych

W odpowiedzi na apel o składanie ofiar na rzecz akcji paczek świątecznych dla chorych w szpitalach oraz z inicjatywy kolportera ŻYCIA, p. **Andrzeja Wróbla,** w hostelu **Balhary, Alyth, Perths,** przeprowadzona została zbiórka, w wyniku której 38 mieszkańców hostelu zebrało kwotę £.4.16.½ oraz 5 paczek czekolady. Ofiary zostały przekazane Komisji Koordynacji Opieki Społecznej przy Zjednoczeniu Polskim w W. Brytanii.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO OJCA ŚW.

Londyn, (P.A.T.). Na życzenia, które Pan Prezydent R.P. skierował do Ojca Świętego za pośrednictwem Ambasady R.P. przy Stolicy Apostolskiej z okazji Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku, Sekretariat Stanu Jego Świątobliwości przekazał tą samą drogą odpowiedź Papieża.

W odpowiedzi Swej Ojciec Święty, poza podziękowaniem, wyraża życzenie by Rok Jubileuszowy przyniósł Polsce obfite łaski Boże, odpowiadające jej cierpieniom i jej zasługom, i udziela błogosławieństwa swego zarówno Polsce, jak i Panu Prezydentowi.

NAWRÓCENIA DUCHOWNYCH ANGLIKAŃSKICH

W „The Catholic Herald“ ukazał się list nawróconego na wiarę katolicką, eks-duchownego anglikańskiego, który nawiązując do dyskusji na temat możliwości, lub niemożliwości zbliżenia między anglikanizmem a Kościołem katolickim, zwraca uwagę na to, że t.zw. anglo-katolickie skrzydło Kościoła anglikańskiego (t.j. mniej więcej to samo, co t.zw. High Church), jest kierunkiem, który toruje w praktyce drogę ku wierze katolickiej i który dał już Kościołowi ogromną liczbę konwertytów. Autor przypomina, że od czasów kardynała Newmana — który sam także przebył drogę do Kościoła katolickiego po przez urząd duchownego anglikańskiego, reprezentującego kierunek anglo-katolicki — około tysiąca duchownych anglikańskich nawróciło się na łono Kościoła. Autor stwierdza, że osobiście zawdzięcza swoje nawrócenie tym impulsom, jakie otrzymał ze strony swych głęboko pobożnych wychowawców anglikańskich, którzy zrobili z niego najpierw anglikańskiego duchownego, ale zarazem wzbudzili w nim zaczyn myśli i dążeń, wiodących nieomylnie na łono Kościoła powszechnego. Tę samą drogę przebywa bardzo wielu anglikańskich duchownych; mimo wszystkich rzeczy ujemnych, jakie można o Kościele anglikańskim powiedzieć, nurtującego w lepszych żywiołach w tym Kościele prądu ku Kościołowi katolickiemu lekceważyć nie należy.

Ze swej strony możemy dodać, że nawrócenia duchownych anglikańskich są zjawiskiem tak stosunkowo częstym, że stanowi to wcale poważny problemat, o niełatwych konsekwencjach praktycznych, również i dla Kościoła katolickiego w Anglii.

Trzeba pamiętać, że duchowni anglikańscy nie mają ważnych święceń kapłańskich. Gdy powraca do jedności z Kościołem w Polsce, w Ziemi Świętej, czy gdziekolwiek indziej — duchowny prawosławny, to sprawa przedstawia się prosto: po prostu zostaje on księdzem unickim. Ale z duchownym anglikańskim rzecz się ma inaczej. Jeśli jest on człowiekiem samotnym, to może oczywiście wstąpić do katolickiego seminarium duchownego. Ale co ma zrobić pastor żonaty, obarczony rodziną, często stary, — nawrócony po wielu latach wahań i rozterki? Jego osobista i rodzinna sytuacja mogłaby być tragiczna — gdyby nie przychodził mu z pomocą Kościół katolicki.

Kościół katolicki w Anglii utrzymuje specjalne domy, w których duchowni anglikańscy, skoro się nawrócili, mogą natychmiast znaleźć wraz z rodzinami doraźny przytułek i pomoc. Młodzi z nich szukają sobie potem pracy w jakimś świeckim zawodzie — starzy korzystają z łaskawego chleba choćby i do śmierci.

KONGRES KATOLICKI W INDONEZJI

Świeżo powstałe niepodległe państwo Indonezja posiada oblicze przeważnie muzułmańskie i jest ze swymi 75 milionami ludności największym obok Pakistanu państwem muzułmańskim na świecie.

Posiada ono jednak również i sporą garść mniejszości wyznaniowych. Liczni w Indonezji emigranci chińscy wyznają buddyzm, konfucjonizm i inne religie swego kraju. Duża wyspa Bali, na wschód od Jawy, po dziś dzień wyznaje braminizm i dzieli się obyczajem induskim na kasty; cała zresztą Indonezja była ongiś bramińska, a tylko potem została przez Islam opanowana, czemu jednak Bali się oparła. W głębi niektórych większych wysp, takich, jak Borneo, przechowały się u najdzikszych plemion również i resztki pogaństwa innego, niż braminizm. Wreszcie, istnieje w Indonezji także i chrześcijaństwo.

Jako osad po wielowiekowych rządach holenderskich zapuścił w Indonezji korzenie protestantyzm. Na niektórych wysepkach archipelagu Molukków oraz w niektórych zakątkach wyspy Celebes stał się on religią panującą. Również i gdzie indziej sporo jest w Indonezji protestantów wśród t.zw. Eurazyjczyków, t.j. potomków małżeństw i konkubinatów mieszanych, holendersko-tubylczych.

W ostatnich jednak czasach coraz potężniej zaczyna się w Indonezji krzewić katolicyzm. Indonezja uchodzi za najmniej oporny katolickiej propagandzie misyjnej kraj muzułmański w świecie. Wyspa Jawa, będąca politycznym rdzeniem Indonezji i zaludniona przez ludność, stanowiącą więcej, niż połowę ogółu ludności całej Indonezji, posiada już około pół miliona katolików, co jest liczbą niedużą w stosunku do całości zaludnienia wyspy, lecz samo w sobie stanowi już społeczność pokaźną. Wyspa Flores, — średnich rozmiarów wyspa, położona niezbyt daleko od wyspy Timor, która jest w połowie posiadłością portugalską, — ma już katolicką większość wśród swojej ludności. Nie brak jest silnych grup katolickich również i na innych wyspach.

W związku z utworzeniem niepodległych Stanów Zjednoczonych Indonezji, odbył się w grudniu w mieście Djokjakarta na wyspie Jawie pięciodniowy Kongres katolicki, którego zadaniem było ustalić zasady politycznej postawy mniejszości katolickiej w nowym państwie. W kongresie wzięli udział delegaci ze wszystkich zakątków Indonezji; wielką mowę wygłosił na kongresie biskup-Indonezyjczyk, J. E. ks. Soegijapranata.

Na otwarciu kongresu obecny był prezydent rzeczypospolitej, p. Soekarno, premier dr Hatta i minister wyznań religijnych. Prezydent Soekarno wygłosił krótkie przemówienie, w którym stwierdził, że podstawą ideową Republiki Indonezyjskiej jest wiara w Jedynego, Prawdziwego Boga i że wolność wyznania będzie w Indonezji zapewniona.

Kongres postanowił założyć ogarniające całą Indonezję stronnictwo katolickie, które nazywać się będzie Partai Katolik. Będzie ono działać jako zdyscyplinowana całość w sprawach, dotyczących całego obszaru Indonezji, oraz będzie się dzielić na autonomiczne człony na poszczególnych wyspach, działające samodzielnie w sprawach miejscowych. Pierwszym punktem programu stronnictwa jest postulat równości uprawnień i stanowiska w życiu publicznym dla mniejszości wyznaniowych w Indonezji.

40.000 PARAFII PRAGNIE KSIĘŻY

Dawny aktor filmowy i śpiewak radiowy, José Mojica, który jest obecnie księdzem — Franciszkaninem, wygłosił w Buenos Aires przemówienie do młodzieży południowo-amerykańskiej, wzywając ją, by garnęła się liczniej do stanu kapłańskiego i by wypełniała luki wśród duchowieństwa w krajach Południowej Ameryki, gdzie brak jest księży w 40.000 parafii.

„Z oczyma zwróconymi ku sprawom materialnym, nasza młodzież gardzi powołaniem kapłańskim. Uważa ona poświęcenie się temu powołaniu za szaleństwo — i wpada w szaleństwo prawdziwe: w obłęd tragicznej walki o bogactwo“.

Ksiądz Mojica stwierdził, że zanik liczby powołań w Ameryce Południowej jest najgroźniejszą chorobą, jaka kraje południowo-amerykańskie kiedykolwiek w ich historii dotknęła.

2.000 PIELGRZYMÓW Z EGIPTU

Na Rok Święty wybiera się do Rzymu z Egiptu 2.000 pielgrzymów. Również i garść prawosławnych koptów, protestantów i muzułmanów przyłącza się do pielgrzymki.

NAJBLIŻSZY BIEGUNA POŁUDNIOWEGO

Bracia Salezjanie budują w argentyńskiej części wyspy Ziemia Ognista (Tierra del Fuego) duży kościół, który będzie świątynią katolicką, położoną najbliżej bieguna południowego. Kościół będzie pod wezwaniem Matki Bożej Miłosierdzia.

Na tym samym miejscu już od 50 lat stoi mała kaplica.

ZŁOTY JUBILEUSZ TRĘDOWATEGO MISJONARZA

Ks. Leon Lejeune, belgijski misjonarz ze Zgromadzenia Maristów, od 15 lat trędowaty, a od 40 lat jeden z najczynniejszych misjonarzy na wyspach Fidżi (Oceania), obchodził w tych dniach złoty jubileusz kapłaństwa.

Był on założycielem seminarium duchownego w Cawaci, w którym w roku 1939 pierwszy potomek fidżyjskich ludożerców został wyświęcony na księdza.

Ks. Lejeune nabawił się trądu już w roku 1935. Mieszka od tego czasu w zakładzie dla trędowatych w Macogai, w którym już w pierwszym roku swego pobytu nawrócił 40 pacjentów. Obecnie jest równie czynny, jak w najbardziej kwitnącym okresie swej działalności misyjnej.

KRÓLOWA ROBOTNIKÓW

Najświętsza Panna z Guadelupe w Meksyku proklamowana została „królową robotników“ przez pielgrzymkę 250.000 robotników meksykańskich.

Procesja pielgrzymki robotniczej przed świętym obrazem trwała od 4 rano do 1 po południu.

JEDNA Z DIECEZYJ NIEMIECKICH...

Diecezja Paderborn w Niemczech utraciła w czasie wojny katedrę, seminarium duchowne, pałac biskupi i mnóstwo kościołów i budynków pomocniczych, które legły w gruzach. Miasto Paderborn utraciło 80% budynków. Około 100 księży w diecezji poległo.

Na obszarze diecezji — która rozciąga się również i na rozległe okolice prawie czysto protestanckie i leży w granicach zon: brytyjskiej, amerykańskiej i sowieckiej, — osiedliło się dziś około 1.200.000 uchodźców ze wschodu, z czego z górą 800 tysięcy katolików. Musiano dla nich utworzyć mnóstwo nowych ośrodków duszpasterskich (kaplic w barakach, kościołach protestanckich i mieszkaniach prywatnych), nieraz w stronach dotąd czysto protestanckich.

O BEATYFIKACJĘ O. BERNARDA

Klasztor OO. Benedyktynów w Lubiniu w Poznańskim rozpoczął starania u władz kościelnych o przeprowadzenie procesu beatyfikacyjnego świątobliwego benedyktyna lubińskiego O. Bernarda z Wąbrzeźna. O. Bernard urodził się w r. 1575 w Wąbrzeźnie na Pomorzu. Już jako młodzieniec odznaczał się wielką świątobliwością, umartwionym życiem i czynną miłością bliźniego. Po ukończeniu kolegium OO. Jezuitów w Poznaniu w r. 1599 wstąpił do klasztoru benedyktyńskiego w Lubiniu. Tu wkrótce zabłysnął niezwykle świątobliwym życiem. Nieustanna praca i ostre pokuty skróciły jego życie. Umarł w dniu 1 czerwca 1603. Sława jego świątobliwości oraz wiara w jego pośrednictwo u Boga przetrwały na Pomorzu i w Poznańskim wśród wiernych aż do obecnych czasów. (I.P.)

BUDOWA KATEDRY WE FRANCUSKIEJ AFRYCE RÓWNIKOWEJ

W BRAZZAVILLE od marca 1943 misjonarze budują katedrę Unii francuskiej, pierwszą wielką świątynię w francuskiej Afryce Równikowej. Katedra poświęcona jest św. Annie. Budowla będzie miała 87 m. długości i 45 m. szerokości, oraz wieżę wysokości 71 m. kształtem przypominającą prymitywne chaty tubylców.

(I.P.)

INSTYTUT POLSKI AKCJI KATOLICKIEJ W WIELKIEJ BRYTANII

UDZIAŁ W ŚWIATOWEJ KRUCJACIE KATOLICKIEJ

Instytut Polski Akcji Katolickiej w okólniku z dnia 7 bm. zapowiada wezwanie naszego społeczeństwa tu na uchodźctwie do udziału w światowej krucjacie katolickiej.

Ukaże się wkrótce pod tymże tytułem broszura poświęcona zagadnieniu krucjaty modlitwy, jej potrzebie i znaczeniu. Broszurka ta podaje również warunki należenia do krucjaty.

Instytut zwraca się z gorącym apelem do Duszpasterzy o zachęcenie wiernych do udziału i wytrwania w krucjacie, aby ten Rok Święty w myśl intencji Ojca św. był rzeczywiście „rokiem wielkiego nawrotu do Boga i rokiem wielkiego przebaczenia“.

Ż Y C I E Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: **Veritas Foundation Publication Centre.** Adres redakcji i Administracji: **Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W 2.** Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt **t y l k o od godz. 3.30 — 4.30 po poł.** Administracja czynna **codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17** — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja **żadnych rękopisów nie zwraca.** W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. **P r e n u m e r a t a** płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty** przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi **„crossed“** wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; w **tekście** 50% drożej, na stronie **tytułowej** 100% drożej. **P r e n u m e r a t a zagraniczna: SZWECJA:** miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: Mgr. Bożysław KUROWSKI. Anggatan 6 c. Lund. Sverige. Sweden. **NIEMCY:** miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 DM. **ARGENTYNA:** kwartalnie 12 peso półrocznie 24 peso. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires.

Printed by: „Veritas Foundation Press“ 12, Praed Mews, London W. 2. Tel. PAD. 9734.